



WŁADYSŁAW JACKOWSKI



LOS WOJNNEGO TUŁACZA



PAMIĘTNIK OPRACOWAŁ SERGIUSZ JACKOWSKI



SPIS TREŚCI

WSTĘP	3
AUTOBIOGRAFIA MŁODOŚCI	4
ETAP I --- NIEWOLA W PUŁKU SMOLEŃSKIM	4
NIEWOLA NA FRONCIE	6
ETAP II --- PODRÓŻ W NIEZNANE	8
ETAP III --- ARCHAANGIELSK	10
POŻEGNANIE Z TUNDRA	12
PODRÓŻ DO POLSKI	12
ETAP IV – LUDOWE WOJSKO POLSKIE	14
WYMARSZ NA FRONT	16
ETAP V --- FRONT NAD WISŁĄ	18
POGOŃ ZA WROGIEM	21
ETAP VI --- BITWA O WAŁ POMORSKI	24
NIEDOBITKI	26
POSILEK OD WROGA	27
ETAP VII --- BITWA O KOŁOBRZEG	28
PO OSTATNIEJ BITWIE O KOŁOBRZEG	32
ETAP VIII --- FORSOWANIE ODRY	33
KONIEC WOJNY	34
PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ	35
ETAP IX --- UKRAIŃSKA POWSTAŃCZA ARMIA	35
KONIEC TUŁACZKI	37
ETAP X --- ZASŁUGI WETERANA	38
POEZJA DUSZY	41
PIERWSZA I OSTATNIA MIŁOŚĆ	43

WSTĘP

Szanowni Internauci! Wspomnienia, jest to zakątek naszego, przeszłego życia, często najmiłszym, do którego w zadumie z nostalgią wracamy.

Wielu z Naszych Przodków wspomnienia wojenne były i jeszcze są również bardzo smutne i tragiczne. Wielu z Ich Potomnych nie bardzo wie, jak Oni przeżywali swoje, wojenne losy podczas tułaczki i na polach bitew. Jak oni z poświęceniem życia walczyli i wspominali w zadumie i nostalgii swoje dzieciństwo i swoją, przedwojenną młodość. Jak marzyli o godnym, wywalczonym, przyszłym życiu dla siebie i dla swoich Potomnych. Wszyscy Potomkowie powinni pamiętać i doceniać ze współczuciem ofiarny trud swoich, walecznych Przodków.

Pragnę więc przedstawić Państwu niezwykle pamiętnik wojennego korespondenta – amatora mojego brata Władysława Jackowskiego.

Każdy z nas w starszym wieku wspomina i przeżywa w zadumie i w nostalgii ścieżki i drożki swojego beztróskiego dzieciństwa i młodości. Każdemu z nas w tym wieku a często już w samotności nie zastąpi najwspanialsza opieka jako nas Przodków swojej pięknej młodości, która już nigdy nie wróci.

Wielu z Was dobrze już mnie poznało, gdyż od kilku lat goszczę na kilku stronach internetowych. Moim publikacjom nie żalowaliście wiele pięknych komentarzy i gratulacji. Tymi życzliwymi gestami promowaliście moją książkę, by ona została wydana i trafiła do czytelników młodego pokolenia. Pisałem ją dlatego, że jestem bardzo wrażliwym człowiekiem na ludzkie cierpienia. Jakże wiele niewinnych narodów cierpiało i umierało w czasie II Wojny Światowej!

Wyjątkowo, bogato tych cierpień doświadczyła moja, bliska Rodzina. Jej Członków którzy po wojnie pozostali przy życiu prawie już nie ma. Natura zabrała już Ich na wieczny, spokojny odpoczynek. Ja jeszcze żyjący jako świadek minionych dramatów i tragedii starałem się odrobinę tych dziejów opisać na pamiątkę dla naszych Potomków i Przyszłych Pokoleń. Życzliwi Internauci szczerymi i miłymi komentarzami zachęcają mnie także do dalszego publikowania ciekawych, dokumentalnych wydarzeń minionych dziejów. Podczas odwiedzin swojego brata staruszka lat 88 natrafiłem w jego szufladzie na jego wojenny pamiętnik. Po pobieżnym zapoznaniu się z jego treścią stwierdziłem, że to jest unikalny, wojenny dokument, którego nie potrafiłem z powrotem włożyć do szuflady. Uznałem go za dokument prawdziwej, ciekawej rzeczywistości, której nie wyczyta się w żadnym, szkolnym podręczniku. Brat przez 5 wojennych lat był tułaczem cierpień po świecie i bohaterem wojennych bitew. Podczas swojej tułaczki i zażartych bitew na froncie był dla swojej pasji wojennym korespondentem – amatorem bez przygotowań pisarskich. Wszystkie swoje ważniejsze wydarzenia opisywał dokładnie z datami a często nawet z porą dnia. Podczas szkoły podoficerskiej w czasie wojny na wykładach pouczano, że korespondent wojenny bez uprawnień nie może notować tożsamości żołnierzy a przede wszystkim dowódców, dlatego w jego notatkach bohaterowie wydarzeń często pozostali anonimowi. A co jest najbardziej wzruszające, że On nigdy nie miał porządnego notatnika. Wszystko spisywał kopiowym ołówkiem na napotykanym notesach i na różnych kartkach papieru często i na workowym kiedy chciał coś ciekawego zanotować a nie było na czym. . Wszystkie, swoje skarby różnych zapisków przechowywał w kopertach na dnie plecaka. Dźwigał je i nie rozstawał się z nimi do końca wojny, a zakończył ją w 1947 roku w Bieszczadach podczas likwidowania UPA. Po wojnie tak jak wszyscy, młodzi ludzie w budowaniu powojennej przyszłości brat był ciężko zapracowany. Stanowisko magazyniera było jego pasją. Po pracy uprawiał dzierżawioną ziemię dla sprzedaży swoich plonów, by zabezpieczyć godniejszy byt swojej trójce dzieci. Nie miał czasu zrobić porządek ze swoimi, wojennymi zapiskami, które zajmowały miejsce w szufladach. Tak jak i wielu pisarzy bez kwalifikacji zawodowej sięgnął za pióro dopiero na emeryturze. Ja także jako młodszy brat o 6 lat udałem się jego śladami chociaż miałem o wiele skromniejsze, wojenne przygody. Brat po wojnie skończył średnią szkołę zaocznie i zakończył swoją wojenną kronikę poezją. Chciał tak jak umiał przedstawić w skrócie dla swoich Bliskich swoją wrażliwą duszę, która tak tęskni do swoich stron ojczystych. Ponoć ten trud wojennego korespondenta poświęcił z myślą dla przyszłych, swoich dzieci i dla swojej, przyszłej żony. Miał nadzieję, że podczas czytania będą współczuć cierpieniom swojego bohatera. Okrutny, wojenny los nie był łaskawy dla wielu szczęśliwych rodzin i

zakochanych par. To szczęście wojna porzuciła po wszystkich zakątkach świata. W latach osiemdziesiątych w tęsknocie za swoją Kolebką za swoimi krewnymi, kolegami i znajomymi brat odwiedził ojczyzne strony ze swoją, żoną Walerią, młodszą córką Emilią i z jej mężem Władysławem Rosolskim. Krewni przywitani gościli z Polski bardzo uroczystie z muzyką swojego kolegi, sąsiada kolonii Leonarda Sidorowicza, który umiał czas spotkania przegrywać na akordeonie. Były łzy szczęścia i radości. Te piękne wrażenia przeżycia podczas gościny w stronach ojczyźnych ciągle opowiada dla swoich Bliskich.

Szanowni Internauci, zdradzę Wam, że na Białorusi przed wojną wierność zakochanych była najświętszą rzeczą. A ileż młodych, zakochanych serc zostało rozerwanych przez wojnę utopistów? Prawdziwa, wierna miłość w małżeństwach była największym bogactwem wiejskich ludzi.

Zapraszam więc Państwo przeczytać „niezwykły pamiętnik” mojego brata. Zdecydowałem się poświęcić, by jego dokładniej opracować, by on nie zbutwiał w szufladach swoich Przodków. Wszystkim Czytającym życzę wiele wrażeń podczas podróży w przeszłość z prawdziwym Bohaterem, który cierpiał, walczył i opisał w niezwykłych warunkach swoje, wojenne, niezwykle przygody dla swojej Rodziny i dla Przyszłych Pokoleń. Myślę, że Jego dwie Córki doceniają Jego wielką, ojcowską miłość dla których z poświęceniem napisał odręcznie po jednym egzemplarzu zawierającym ponad 200 stron.

Sergiusz Jackowski

AUTOBIOGRAFIA MŁODOŚCI



Urodziłem się 17.12. 1923r. We wsi Dziahiłe pow. Postawy woj. Wilno. Moje dzieciństwo nie było za bardzo ciekawe w 7 osobowej rodzinie. Rodzice na 10 ha areale z dodatkowo małym, wiejskim sklepikiem z podstawowymi artykułami jakoś sobie radzili. Starszy brat Arseniusz uczył się krawiectwa i nie opuszczał ręcznej maszyny. Ja krótko przed wojną ukończyłem 7 klas Szkoły Podstawowej. W tym czasie naszą wieś rozparcelowano na kolonie. Po jej wybudowaniu i zagospodarowaniu dodatkowych nieużytków zaskoczyła nas wojna. Ojciec na kolonii ze sklepiku musiał zrezygnować. Agresję sowiecką w 1939 roku przeżyliśmy w rodzinnym komplecie. Starszego brata w 1940 roku zabrano do Armii Czerwonej a Dziadek zmarł. Nasza Rodzina zmniejszyła się o dwie osoby. Swoim dzieciństwem, młodością i wolnością cieszyłem się tylko do osiemnastu lat życia. Nie zdążyłem rozejrzeć się za dziewczyną i pobawić się, a już uczestniczyłem w wojnie. Trwała ona dla mnie z przerwą 18 miesięcy od lata 1942 roku, a skończyła się 12 lutego 1947 roku w Bieszczadach.

ETAP I --- NIEWOLA W PUŁKU SMOLEŃSKIM

Agresja niemiecka na Rosję w lipcu 1941 roku przysporzyła smutku dla rodziców i całej, białoruskiej społeczności. W nieustających, długich walkach o Moskwę Niemcom udało się odciąć rosyjski, „smoleński pułk” od frontu. Ten pułk nie mając możliwości połączyć się z swoim frontem bez zapasu żywności i amunicji zmuszony był wycofać się aż na Białoruś. Można wyobrazić jego tak długi przemarsz jedynie po nocach, by uniknąć potyczek z Niemcami nie mając amunicji. Na oczekiwanie zrzutu wybrali nasze okolice z dala od tras kolejowych i od ważnych, chronionych traktów, którymi poruszały się wojska niemieckie z dostawą posiłków dla frontu. Ten pułk, by nie zostać rozbitym z powietrza i nie ogołocić biedny naród z reszty żywności rozproszył się po kilku wsiach. Na naszej kolonii też się rozgościło czterech żołnierzy. Widziałem na własne oczy wąsatego i brodatego dowódcę tego pułku, jak pewnego ranka przyjechał na naszą kolonię bryczką z obstawą kilku żołnierzy. Jego celem było, by od ojca uzyskać jak najwięcej informacji na temat naszych okolic. Nasza kolonia znajdowała się przy samych, rozległych moczarach. Po kilku dniach pobytu nieproszonych lokatorów pewnej nocy nad ranem usłyszeliśmy odgłosy latających samolotów. To było jasne, że pomoc z powietrza nadeszła. Żołnierze szybko wstali, ubrali się i wyruszyli na umówione miejsce. Przed południem zjawili się dwóch żołnierzy, kazali przygotować furmankę razem zemną do podróży. To było moje pierwsze pożegnanie z Rodziną. Zaniepokojeni rodzice nie mieli wyjścia i musieli mnie z torbeczką żywności wysłać nie wiadomo dokąd i na jak długo. Po godzinie dojechaliśmy z żołnierzami do miejsca zrzutu niedaleko wsi Badzienie. Dwie furmanki załadowane skrzyniami i jakimiś workami odjeżdżało w kierunku wschodnim. Przy drodze przez moczary pod

karłowatymi drzewami była jeszcze ogromna kupa skrzyń, worków, pozwijane ze sznurami spadochrony, karabiny maszynowe na kółkach ponakrywane zielonym płótnem i inny wojenny sprzęt. Przy tej kupie było około dziesięciu żołnierzy. W moment załadowali moją furmankę, a na wierzch ustawili karabin maszynowy i nakryli zielonym płótnem. Kiedy odjeżdżałem z ładunkiem dostrzegłem, że na moje miejsce podjeżdża furmanką mój kolega z sąsiedniej kolonii Mieczysław Sidorowicz. Ucieszyłem się, że będę miał kolegę i w podróży będzie nam rażniej. Kiedy odjechałem ze 100m. zauważyłem, że mój kolega też z załadowanym towarem wyruszył za mną. Przed następną wsią Mozalewszna żołnierz stojący na drodze wskazał kierunek w las. Po ujechaniu kilkadziesiąt metry leśną dróżką dostrzegłem załadowane furmanki porozrzucane po lesie i ponakrywane zielonym płótnem, a w zielonych namiotach także porozsypywanych po lesie odpoczywali żołnierze. Wszystko zrozumiałem, że oni byli zamaskowani przed nalotami. Kiedy wyprzągłem konia zaraz podszedł do niego żołnierz i nałożył mu na głowę woreczek z obrokiem. Zaraz nadjechał także mój kolega. Po jego obsłużeniu przez żołnierza podszedłem do niego. Rozmawialiśmy i podziwialiśmy jak wojenny tabor był tak precyzyjnie zorganizowany. Dostrzegliśmy także, że w tym taborze są także i kuchnie polowe, które dla żołnierzy całego pułku i dla nas przygotowują obiad. Podczas wydawania obiadu wydano dla wszystkich menażki i łyżki. Po obiedzie dyżurny żołnierz kazał nam położyć się do spania gdzie tylko chcemy i pouczył nas, że na sygnał trąbki o zmroku zgłosić się po kolację, a po kolacji przygotować furmanki w dalszą drogę. Na następny sygnał wszyscy wyruszymy jednocześnie. Wszyscy, młodzi furmani a było nas ponad dwudziestu czuliśmy się jak gdyby także byliśmy partyzantami. Niemcy dobrze wiedzieli że ten pułk jest na tyłach jego frontu, ale nie wiedzieli w jakim miejscu. Przez to tak precyzyjne było maskowanie przed nalotami. Wiedzieli także, że otrzymał zrzut z dobrym uzbrojeniem, przez to mniejsze jednostki niemieckie unikali z nim potyczek. By silnie obstawić front od Leningradu po morze Czarne trzeba było mieć ogromne ilości wojska. Przez to ten pułk na tyłach był bardzo groźny dla Niemców na terenach Białorusi. Niemcy także wiedzieli, że w odpowiedniej chwili ten pułk może uniemożliwić dostawy drogą kolejową na front wschodni środkowych rejonów Rosji.

Przez to ten pułk tak cichaczem podążał do trasy kolejowej Wilejka – Połock.

Kiedy ściemniało, tabor wyruszył z Mozalewszna w kierunku wschodnim dość marną drogą. Mineliśmy wieś Konczany, koło wsi Haby Stare przecinaliśmy główniejszą trasę. Przed następną wsią Grzybki w połowie drogi robił się zmrok i napotkaliśmy odpowiedni las w którym dowódca taboru zdecydował odpoczynek po nocnym marszu. Po krótkim wypoczynku spożyliśmy śniadanie z suchego prowiantu zapijając go czajem nie z samowaru lecz z kotła. Po śniadaniu wojsko w roli partyzantów miało swoje zajęcia a ja z kolegą położyliśmy się do spania przestrzegając pouczenia dyżurnego nakryliśmy się zieloną pałatką. W czasie odpoczynku dyżurny zatroszczył się obsługą koni. Po obiedzie padał deszcz, więc pozwolono nam odpoczywać w namiotach z żołnierzami. Z niektórymi nawet zaprzyjaźniliśmy się opowiadając kawały z czasów, dzieciństwa i dorastającej młodości. Często nad nami latały stękające od ciężaru eskadry bombowców ale nas zamaskowanych nie ruszały. W następną noc przejeżdżaliśmy przez wieś Kulikowo. Dalsze wsie były nieznane, a w nocy nie szło odczytać tablic informacyjnych. Kiedy budził się świt byliśmy już w lesie i przygotowywaliśmy się na odpoczynek. Po zamaskowaniu się usłyszeliśmy nadjeżdżający pociąg. Byliśmy w pobliżu trasy Wilejka – Połock. Rozsapany, obładowany pociąg podążał być może przez Dynaburgo do Leningradu lub przez Witebsk pod Moskwę. Po odpoczynku dziennym robiła się szarówka. Przygotowywaliśmy się do wymarszu. Robiło się ciemno a sygnału do wymarszu nie usłyszeliśmy. W nocy nadleciały rosyjskie samoloty i bombardowały pobliską stację kolejową. Nad ranem było słychać następny przejeżdżający pociąg. Nie wiedzieliśmy jaką taktykę zastosowało dowództwo. W ciągu dnia przejechały dwa pociągi w stronę Rosji a w odwrotnym kierunku jeden. Wyglądało na to, że dowództwo pułku oczekuje jakichś rozkazów z frontu. Następną noc też nie opuszczamy lasu. Po północy usłyszeliśmy znowu nadlatujące samoloty od strony Rosji. Zrozumieliśmy, że pułk czekał na następny zrzut na umówionym miejscu. W odległości o kilometr czy dalej od torów kolejowych dla pułku spadła następna pomoc z nieba. Kazano nam szybko założyć konie do wozów i wyruszyć po cenny ładunek który już wysłani żołnierze przygotowywali do zabrania. Do świtu cały ładunek zdążyliśmy przywieźć i umieścić w lesie. Przez cały dzień zamiast wypoczywać wszyscy furmani liczyli przejeżdżające pociągi i przywidywali, że tu na tej trasie kolejowej coś groźnego się wydarzy. Kiedy robiła się szarówka zrobiono zbiórkę furmanów. Przyszedł do nas kapitan i podziękował nam za pomocny udzielony trud. Kazał nam zabrać przygotowany prowiant na dwa dni i natychmiast odjeżdżać do domów. Jego ostatnie słowa brzmiały:

- Siewodnia noczu dzieś nastupit żestokaja borba. (Dzisiaj w nocy tu nastąpi groźny bój). Więc czym prędzej zabraliśmy prowiant, założyliśmy konie i wyruszyliśmy w drogę powrotną. Po drodze gdzieś po północy w cichą i pogodną noc usłyszeliśmy nieustającą, głośną kanonadę wybuchów i łuny oświetlające

niebo. Przypuszczaliśmy, że ten „smoleński pułk” wysadził obładowany pociąg z amunicją i sprzętem wojennym podążający na front. Po tygodniu nieobecności w domu opowiadałem rodzinie swoje przygody w wojennym taborze z „pułkiem smoleńskim”. Wszyscy podziwiali moje przygody i dziękowali Bogu, że szczęśliwie wróciłem do domu. Mieliśmy także co opowiadać z kolegą Mieczysławem dla swoich rówieśników.

Po powrocie z taboru, kiedy partyzantka na dobre się rozpowszechniła wielokrotnie mnie i rodziców zadręczała, bym wstąpił do jej szeregów. Byłem jeszcze za młody i jak mogłem, jak tylko potrafiłem odmawiałem nawet dowódcom tej, godnej służby.

NIEWOLA NA FRONCIE

Na początku października 1943 roku przez naszą wieś przechodziła niemiecka tj. blokada jednostki pancernej, czyli grupa likwidacyjna siedzib partyzanckich. Z początku myśleliśmy, że jak poprzednio jadą i pojedą dalej. Jednak rozgościli się na cały tydzień i przez ten czas zdążyli dużo złego uczynić. Podejrzewali, że na tych terenach grasuje partyzantka. Na postrach spalili kilka gospodarstw na koloniach naszej wsi. Z całej wsi pozabierali świnie i krowy. Ludzie zostali w rozpacz bez krów i trzody chlewnej, w dodatku byli w panice, że całą wieś puszcza z dymem. Rodziny także pokrzywdzonych ale ocalałych gospodarstw cieszyli się, że barbarzyńcy szykują się do odjazdu. Sołtysowi dali nakaz, by zorganizował kilka furmanek do transportu zrabowanych zwierząt rzeźnych. Ojciec także był wytypowany i z furmanką wysłał mnie. Musiałem więc drugi raz pożegnać rodzinę i wyruszyć w nieznany los przeznaczenia. Razem ze mną w tym konwoju było także kilka moich kolegów. Wyruszyliśmy ze wsi z niemiecką obstawą w kierunku północnym. Podczas podróży nas niepokoiło, że nie wiemy dokąd podążamy. Dopiero po przesłotygodniowej, męczącej podróży dowiedzieliśmy się, że zbliżamy się do celu. Była to stacja kolejowa, węzłowa Nowe Święciany. w odległości o 90 km. od naszej wsi przy samej, litewskiej granicy. Z Niemcami cały, żywy łup z niemałymi trudnościami przeładowaliśmy z furmanek do wagonów. Starszych furmanów a także z furmankami młodych chłopaków odesłano do domów, a nas siedmiu zabrali ze sobą. Razem ze zwierzętami w wagonach ruszyliśmy w nieznane. Byliśmy bardzo zmartwieni i przestraszeni co ci agresorzy i zaborcy z nami zrobią. Po dwóch dniach pociąg zatrzymał się w miasteczku na Łotwie – Režika. Tu żywy towar rozładowaliśmy z wagonów na samochody, który od razu pojechał do rzeźni. Z Niemcami pieszo prosto wyruszyliśmy na wschód. Po dziennym marszu byliśmy na terytorium Związku Radzieckiego. blisko linii frontu. W tym czasie akurat trwały walki. Niedalekie, nieustanne wybuchy o różnych decybelach przerażały nas. Wydawało nam się, że te wybuchy coraz bardziej zbliżają się do nas. Myśleliśmy, że za chwile pociski będą rozrywać się tu i będzie po nas. Mnie chciało się zapłakać jak dziecku i wołać na ratunek rodziców, ale uświadomiłem sobie, że jestem dorosły i mam prawie 20 lat. i musiałem te uczucia strachu opanować. Tu na froncie nas wykorzystywano w niebezpieczeństwie do różnych, ciężkich prac. Niebawem przyszła zima, tęgie mrozy i zawieje śnieżne. Swoje ubrania mieliśmy nie za ciepłe, buty też były liche, więc otrzymaliśmy komplet ciepłego ubrania. Po nocach na froncie kopaliśmy okopy, rowy strzeleckie, budowaliśmy schrony z bali sosnowych i obsypywaliśmy je ziemią. Zdarzała się nocna strzelanina kiedy pojawiały się rosyjscy zwiadowcy. Był wypadek, że jednego blisko nas zabito. Byliśmy wszędzie na każde zawołanie. Karmili nas nieźle, co jedli żołnierze to i nam dawali. Traktowali nas dość przyzwoicie. Zdarzało się cofanie frontu z dnia na dzień do tyłu. Nocowaliśmy w stodołach lub opuszczonych domach. Cofnęliśmy się aż do miasteczka Režika skąd na pieszo wyruszaliśmy na front. Pod wieczór nadleciały sowieckie samoloty i bombardowały miasteczko i stację kolejową, a także ostrzeliwali z karabinów maszynowych uciekających Niemców. Było gorąco, każdy się chował gdzie tylko mógł. Niemcy także uciekali nie wiadomo dokąd. Zauważyliśmy jak cywile uciekają do jakiegoś schronu, więc i my biegliśmy za nimi. Bomby wybuchały blisko nas a domy się paliły. Trwały krzyki rozpaczających ludzi opuszczających swoje, płonące domy. W schronie przeczekaliśmy aż bombardowanie ustało. Nie wiedzieliśmy gdzie iść i co robić? Niemców ani śladu, tylko trafiliśmy na dwóch zabitych a także na dwóch rannych cywilów, których zabierali mieszkańcy tego miasteczka. My mieliśmy okazję na ucieczkę od Niemców, ale baliśmy się ryzykować w obcych, nieznanych stronach to uczynić. Postanowiliśmy swoich „kameradów” szukać. Kiedy ich znaleźliśmy byli zadowoleni, że ich szukaliśmy. Dalej przebywając w Režika spaliśmy na balach słomy w stajni przy koniach gdzie było nieco cieplej. Poza stajnią szalał mróz i zawieje. Po kilku tygodniach niewolniczej służby na froncie Niemcy nas wszystkich zawołali do sztabu. Oświadczyli nam, by się szykować do podróży. Myśleliśmy, że znowu będziemy się cofać, albo chcą nas wywieźć do Niemiec. Po zakończonym zdaniu oficera zrozumieliśmy, że nas odsyłają do swoich domów.

Nie do opowiedzenia jaka radość ucieszyła nasze serca. Tak wielce radosnej nowiny nie spodziewaliśmy się. Sporządzono wykaz wszystkich zwolnionych z pieczętą i podpisem sztabowca. Oficer wręczając ten dokument jednemu z nas powiedział:

- To wam na drogę wystarczy, tylko wszyscy musicie się trzymać razem. Jesteście więc wolni i możecie iść na dworzec i spokojnie odjechać do swoich rodzin.

Niebawem byliśmy na dworcu. Wsiadliśmy w pierwszy, lepszy wagon i pędziliśmy w rodzinne strony. Dojechaliśmy do dużego, łotewskiego miasta Dynaburg nad rzeką Dźwiną. Była tu duża stacja węzłowa, pociągi odjeżdżały w różne kierunki. Tu z większą częścią naszych kolegów drogi się rozeszły. Większa grupa pomyłkowo usiedli na inny pociąg, który odchodził w kierunku Rygi. Właśnie oni mieli dokument z wykazem nas wszystkich wydany przez Niemców. Przed odjazdem z Dynaburgu twierdzili, że to oni pojedą we właściwym kierunku, ale bardzo się pomylili. Ja z kolegą Aleksandrem Smolskim twierdził, że to my jedziemy właściwym pociągiem w kierunku Nowe Święciany i tak właśnie było. Ledwo zaczęło się świtać i my już tam byliśmy. Do domu było 90 km. Kiedy się rozjaśniło wyruszyliśmy pieszo w kierunku Stare Świeciany oddalone o 12 km. Kiedy przeszliśmy około trzech km. Napotkaliśmy zaprzęg w saniach a w nim dwóch ludzi w bieli. Okazało się, że to byli policjanci litewscy. Zatrzymali nas i zaczęli wypytywać, skąd i dokąd idziemy. Wszystko im dokładnie wytłumaczyliśmy a w dodatku mieliśmy osobiste, niemieckie dokumenty. Uwierzyli nam i pozwolili iść w dalszą drogę. Koło południa dotarliśmy do Starych Świecian. Tam odwiedziliśmy targ, trochę odpoczęliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę do Postaw. Niebawem także jechał zaprzęg w sankach. Dobry człowiek zabrał nas i przywiózł aż do swojego domu. Zaprosił nas na kolację, a jego rodzina przygotowała nam nocleg. Rano poczęstowano nas śniadaniem za co im bardzo podziękowaliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę. W południe dotarliśmy do miasteczka Haduciszki. Tu zdecydowaliśmy zająć do jednego mieszkania i poprosić o skromny obiad. Trafili nam się dobrzy ludzie. Po relacji naszego, niewdzięcznego, chłopięcego losu poczęstowali nas obiadem i bimbrem. Grzecznie im podziękowaliśmy i wyruszyliśmy do naszego, powiatowego miasta Postawy odległe o 20 km. Na tej trasie znowu spotkaliśmy dwóch, litewskich policjantów i od nowa kłopotliwe tłumaczenia. W Postawach także napotkaliśmy współczujących ludzi, którzy postarali się o kolację dla nas, udzielili noclegu a rano poczęstowali nas śniadaniem. Do domu zostało nam jeszcze 30 km. W mroźny dzień pokonywaliśmy pozawiewane drogi, ale byliśmy zadowoleni, że już jesteśmy na ostatnim etapie wędrówki spotkania się ze swoją rodziną. Po drodze znowu niespodzianka. Spotykamy się z rosyjskimi partyzantami w zaprzęgu saniami. Po pierwszych przesłuchaniach kontrola osobista i rewizja plecaków. Znaleźli w nich suchy prowiant na drogę wydany przez Niemców jak: konserwy, margaryna, suchary i papierosy „Juno”, które były przeznaczone na prezent dla ojca a reszta dla rodziny. Wszystko zabrali i grozili, że jeszcze się zobaczymy w waszych domach. Odjechali z łupem nieszczęśliwych biedaków pokrzywdzonych przez los. Kiedy już byliśmy blisko celu pożegnałem się z kolegą Aleksandrem, który mieszkał przy naszej wsi na koloni Tatarów, a sam znajomym szlakiem na przełaj podążałem do swojej kolonii. Po głębokim śniegu było ciężko iść, a ja o zachodzie słońca pokonywałem ostatni kilometr. Ostatkiem sił przekroczyłem próg swojej chaty. Tak zmarnowanego syna Mama ze łzami radości powitała mnie z Rodziną. Kiedy chwilę odpocząłem wspólnie z Rodziną podczas spożywania kolacji opowiadałem swój, niezwykle los i wspominaliśmy o nieznanym, wojennym losie mojego brata Arseniusza. Po przespanej i spokojnej nocy mama przejrzała moją bieliznę, była strasznie brudna i zawszona, natychmiast wrzuciła ją do pieca i spaliła.

Kiedy Niemcy zrezygnowali z dalszego natarcia silnie broniącej się Moskwy. Zwolnili chłopaków z przymusowego, frontowego obozu do domu.

Partyzantów dowództwo dowiedziało się, że młodzi, cywilni, białoruscy obozowicze spod Moskwy wrócili do swoich rodzin. Podczas ich podróży do domów potwierdzili miejscowi partyzanci. Minęły trzy dni po moim powrocie. Trwała jeszcze zima. Późnym wieczorem położyliśmy się do snu. Ja nie zdążyłem jeszcze usnąć, usłyszeliśmy nagle stukanie do drzwi. Ojciec je otworzył. Weszło dwóch partyzantów. Kazali dla mnie ubrać się i wyjść przed dom i stanąć pod ścianą. Księżyc przyświecał tej scenie. Jeden z partyzantów odczytał rozkaz dowódcy, że za służbę u Niemców na froncie zostałeś skazany na karę śmierci na rozstrzelanie. Drugi z partyzantów zarepetował karabin. Mama wybiegła z domu. Upadła do nóg wykonawcy wyroku. Błagała znajomego partyzanta z sąsiedniej wsi, płacząc wołała go po imieniu:

-Miszeńka nie zabijaj swojego kolegi! Przecież on jest nie winny! Zabrano Władka pod przymusem! Zlituj się nad cierpieniem matki i nad młodym życiem syna!

Misza współczuł dla mamy Opuścił broń. W tym momencie broń repetował nie znajomy partyzant, Misza krzyknął:

-Wicia, nie zrobisz tego! Musiałbyś do pierwszego strzelić we mnie!

Po sprzeczce partyzanci broń rozładowali i zarzucili na ramiona. Misza mamie i mnie doradzał, bym nie spał w domu i ni komu nie pokazywał się na oczy do póki oddział partyzantów imieniem „Suworowa” nie opuści tych terenów. Jeżeli sąsiedzi zapytali by o mnie to rodzina musiała by mówić, że mnie partyzanci zabrali. W przeciwnym razie dowódca by ich sam rozstrzelał. Kazali dla mnie zdjąć ciepłe, niemieckie, wojskowe buty, kurtkę i ocieplane spodnie. Te trofea miały udowodnić dla dowódcy, że wyrok został wykonany. Partyzanci mieli informacje, że ojciec swoim sposobem garbuje skóry, więc domagali się jeszcze, by ojciec oddał dla nich wyprawioną skórę byka na ich potrzeby. Ojciec właściwie miał taką skórę wyprawioną i dla spokoju, by już nas nie nękali przyniósł ją z kryjówek i oddał swój skarb. Mama płakała z radości prowadząc do domu bosego i rozebranego syna. Partyzanci w zaprzęgu sań z poważnym łupem biednych ludzi odjechali. Musiałem więc przez trzy zimowe tygodnie przebywać w stodole i spać głęboko zaryty w sianie. Mama musiała więc wiele się natrudzić moją opieką.

ETAP II --- PODRÓŻ W NIEZNANE

6 lipca 1944 rok Armia Czerwona po raz drugi wkroczyła na naszą, białoruską ziemię. Tym razem niby to wyzwalała ją spod okupacji hitlerowskiej. Zaczęła mobilizację młodych chłopców a także i żonatych mężczyzn do lat 50 nie zważając na sytuację domową rodziny. Ten, biedny, bardzo życzliwy, bardzo uczuciowy, białoruski naród chyba najbardziej wycierpiał przez 5 lat wojny.

16 lipca 1944 roku otrzymuję zawiadomienie doręczone przez sołtysa o powołaniu do Armii Czerwonej, w którym było wyszczególniono a żeby każdy powołany zabrał ze sobą bieliznę i żywność na 5 dni. W punkcie zbornym w miasteczku Miadzioł stawić się 20 lipca 1944 roku. W tym właśnie czasie ukończyłem 20 lat i 6 miesięcy. Przez tych kilka dni moja mama przygotowywała i szykowała co tylko mogła, a żeby mnie zaopatrzyć na długą, nieznaną i daleką podróż

Trzeci raz nadeszła chwila pożegnać się z rodziną i ze swoją kolebką, by już do niej nigdy nie wrócić. Rodzice starali się jak mogli, by nie płakać. Zapominali nawet co czynić żegnając drugiego syna i wysyłając go w czelusć wojny. Zrozumiałem, że nie chcieli mnie zasmucać na podróż do bitwy o wolność i lepszy byt dla swojej rodziny i swojego kraju. Ucałowałem Ich, młodszą siostrę i młodszego brata. Wziąłem więc torbę na plecy, kiedy oddaliłem się kilkadziesiąt metry obejrzałem się na swoją chatkę pod strzechą i na stojącą rodzinę na podwórku. Patrzyli na mnie i wiem co przeżywali. Wyruszyłem więc po swój los jaki Bóg mi przeznaczył. Podążając z kolonii do punktu zbornego rozglądałem się dookoła, przypominając swoje dzieciństwo, swój, pierwszy etap młodości.

We wsi uzbierała się nas spora grupa. Załadowaliśmy się na furmanki i pożegnaliśmy swoją wieś i niektóre płaczące matki. Przez 12 km. podążając do miasteczka Miadzioł żegnaliśmy znane wioski, w których mieliśmy wiele przyjaciół. Żegnając ten piękny świat swojej młodości nigdy nie przypuszczałem i nie spodziewałem się, że opuszczam te strony, by już nigdy do nich nie wrócić. Kiedy opuszczałem rodzinne strony byłem młody i niedoświadczony. Myślałem, że ta podróż po świecie będzie wielką frajdą i zobaczę coś niezwykłego, coś ciekawego a po wojnie wrócę w swoje strony, do swoich przyjaciół i do swojej rodziny, by znowu cieszyć się spokojnym życiem.

Do Miadzioła przybyło mnóstwo młodych chłopaków a także i mężczyzn w sile wieku ze wszystkich stron tych okolic. Długo nie czekaliśmy w kolejce do badania lekarskiego, czy też jakichś weryfikacji. Żadnych badań nie było, tylko zapisywali imię i nazwisko i na bok do innej grupy, które co raz bardziej się powiększały. Minęło zaledwie kilka godzin a wszyscy już byli zarejestrowani i przygotowani do wymarszu. W drogę wyruszyliśmy w samo południe w kierunku Starej Wilejki odległej o 40 km. Było nas około 300 ludzi. Droga przez cały czas była leśna i piaszczysta po obu stronach drogi piękny, sosnowy las. Dzień był ciepły i słoneczny nie sprzyjał naszym zmęczeniu. Robiliśmy często krótkie odpoczynki. Całą grupę prowadziło nas dwóch, sowieckich żołnierzy. Pod wieczór dotarliśmy do Starej Wilejki. Zatrzymaliśmy się nad rzeką Wilejką. Po rozebraniu się wszyscy rzuciliśmy się w jej nurt, by zmyć z siebie kurz i pot. Po umyciu się, posiłku i odpoczynku zapadł szybko wieczór i nastała ciepła, letnia noc. Każdy zdrowo się czuł. Do spania swobodnie ułożyliśmy się pod drzewami.

21 lipca 1944 roku rano wypoczęci i posileni ze swoich zapasów wyruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Mołodeczna odległego od Starej Wilejki około 40 km. Szliśmy sobie luzem jak kto chciał. Po kilku kilometrowym marszu usłyszeliśmy warkot samolotu, który niespodzianie zjawił się nad naszą trasą. Z

początku myśleliśmy, że to sowiecki samolot zwiadowczy. Kiedy zaczął z broni maszynowej obstrzeliwać naszą grupę to było wiadome, że to samolot nieprzyjaciela. Błyskawicznie ruszyliśmy w las i każdy krył się za pniami drzew. Samolot dwa razy nawracał i dłuższymi seriami obstrzeliwał las w którym my się kryli. Było tylko słyszeć jak od kul trzaskały gałęzie i spadały koło nas na ziemię. Po kilku chwilach byliśmy pewni, że samolot oddalił się. Gdy już całkiem ucichło wszyscy wyszliśmy z lasu. Tylko jeden z nas nie zdążył ukryć się w lesie kiedy go dopadła kula. Leżał w przydrożnym rowie i jeszcze żył, ale już był nieprzytomny. Wkrótce przestał oddychać nie zobaczywszy nawet ani frontu, ani karabinu. Drugi z naszej grupy był ranny w rękę przedramienia. Nie groźną ranę opatrzył sowiecki żołnierz. Po tych smutnych wydarzeniach zrobiono zbiórkę. Po przeliczeniu chłopaków dalszy stan grupy się zgadzał. Zmarłego w pałatce donieśliśmy do najbliższej wsi. Sowiecki żołnierz dał nakaz dla sołtysa, by tego chłopaka pochowano. Wręczył mu wszelkie dane chłopaka i nakazał, by koniecznie zawiadomił rodzinę o jego śmierci. Pojawianie się niemieckich samolotów w tych okolicach wskazywało, że front był w rejonie Wilna. Zaledwie po dwóch dniach po opuszczeniu domów poczuliśmy smak wojny. Każdy z nas myślał poważnie, że wielu z nas nie wróci już do swoich domów. Przed następnym miastem znowu rozłożyliśmy się na noc w lesie. Było już o czym pogadać przy rozpalonych ogniskach. Najbardziej nas zadręczało, gdyż nie wiedzieliśmy gdzie i po co nas prowadzą

22 lipiec 1944 rok po odpoczynku nocnym i po śniadaniu znowu ruszyliśmy w dalszą, uciążliwą drogę. Myśleliśmy, że w Mołodecznie będzie koniec naszej wędrówki po osiemdziesięciu kilometrach. Nasze przewidywanie nie sprawdziły się i z Mołodeczna wędrowaliśmy dalej prosto na wschód do byłej granicy polsko – sowieckiej. Przed południem dotarliśmy do miasteczka Krasne 20 km. za Mołodecznem. Tu znowu rozłożyliśmy się na nocny wypoczynek. Tu już był kres naszej, pieszej wędrówki. Przebywaliśmy w tym lesie cały tydzień. Najgorszym było, że nasze zapasy żywności skończyły się. Ogarnęło nas zmartwienie i przygnębienie, poza tym byliśmy brudni i wyczerpani fizycznie i umysłowo. Nie było wiadome kiedy otrzymamy jakiś prowiant. Przez cały tydzień naszego odpoczynku w Krasnym z różnych stron Białorusi napływały grupy mężczyzn. Z orientowaliśmy się, że tu w Krasnym jest główny punkt zbiorczy a stąd nas załadują do wagonów.

29 lipca 1944 roku podstawiono olbrzymi transport składający się z około 40 wagonów towarowych. Załadowano nas po 40 ludzi do jednego wagonu i rozdano suchy prowiant. Przydzielono nam na wagon po jednym żołdacie z karabinem, na którym był założony bagniet. Późnym wieczorem ruszyliśmy pociągiem na wschód. Przez Mińsk przejechaliśmy nocą i prawie nic nie zobaczyliśmy oprócz łun oświetlających miasto. Na krótko pociąg zatrzymał się na bocznym torze. Tu zaopatrzyliśmy się w wodę z brudnego parowozu, bo inaczej to było niemożliwe. Dalej jechaliśmy na wschód. Byliśmy pewni, że wiozą nas na Sybir w głęboką Rosję. Podtrzymywało nas na duchu, że traktują nas jako tako i chyba dalej nie będzie tak źle. My chłopcy z jednej miejscowości trzymaliśmy się twardo w jednej grupie. Postanowiliśmy tak trwać do końca o ile to będzie możliwe. Na razie nikt z nas nie panikował. Czekaliśmy na nowe Wydarzenia.

3 sierpnia 1944 rok z krótkimi postojami dojechaliśmy do Moskwy. Ciekawiło nas bardzo a żeby chociaż trochę zobaczyć tak wielkie miasto chociaż z daleka, bo przecież każdy z naszej grupy nikt nie widział tak dużego miasta. Staliśmy na bocznych torach i mogliśmy tylko tyle zobaczyć co przez otwarte drzwi wagonu. Z wagonu nie wolno było wychodzić i każdy się pchał do drzwi. Tu znowu otrzymaliśmy suchy prowiant. A było to: duża, sucha, słona ryba, suchary z czarnego chleba w większej części całkiem pokruszone, oraz koncentrat z prasowanych kostek grochu czy fasoli. Do popicia była woda z parowozu i do rozpuszczania koncentratu. Po rozpuszczeniu wychodziła z tego papka lub zupa, którą spożywano, chociaż absolutnie nam nie smakowała, a po słonej rybie okropnie chciało się pić. Na pytania, dokąd jedziemy żołdat w żadnym wypadku nie chciał zdradzić tej tajemnicy. Na każde pytanie mówił nam: „to jest wajenna tajna”.

Kiedy już byliśmy nie daleko celu powiedział nam, że jedziemy do Archangielska 1700 km. Od Moskwy. Wy tłumaczył nam, że to, duże miasto leży nad morzem Białym. Po drodze mijaliśmy jeszcze wiele innych miast, gdzie na krótko zatrzymywał się pociąg, by lokomotywę uzupełnić wodą. W tym czasie wybiegaliśmy z wagonu, co już było dozwolone i pędziliśmy na dworzec a żeby do manierek nabrać gorącej wody, po rosyjsku nazywano „kipietok”. Nadawał on się do rozpuszczania koncentratu i popić po zjedzeniu słonej ryby. Przejeżdżaliśmy przez duże miasta jak: Kaługa, Jarosław, mniejsze miasteczka i wioski, które to co raz mniej widziało się jadąc co raz dalej na północ. Tak samo i roślinność na to wskazywała, że tu dla

niej nie był odpowiedni klimat. Po prostu tundra i ogrom przestrzeni na której nie było widać żadnego życia. Pomimo to że jeszcze było lato, tutaj odczuwało się późną jesień, przenikający chłód i poranne przymrozki.

ETAP III --- ARCHANGIELSK



Archangielsk Źródła zdjęcia Wikipedia. org

10 sierpnia 1944 roku wczesnym rankiem dojechaliśmy do Archangielska. Wysiadać! - krzyknęli rosyjscy konwojenci. Chłopaki wysypywali się z wagonów i na peronie zrobiło się bardzo tłoczno. Ten peron ciągnął się wzdłuż zalewu rzeki Dwiny, w tym czasie wyglądał on jak mrowisko poruszone kijem. Jest zimno. Przymrozek około – 5 stopni. Wieje zimny wiatr od morza, a my przecież jesteśmy ubrani po letniemu, ale w tłoku szło jakoś wytrzymać. Na peronie czekaliśmy na dalsze rozkazy. Patrzyliśmy na duże fale i ogromny zalew gdzie nie było widać drugiego brzegu. Szliśmy peronem aż do portu, gdzie już nas oczekiwały statki. Wciąż patrzyliśmy na prawdziwe morze, którego każdy z nas jeszcze nie widział. Kazano nam wsiadać na statek, a było nas około 1500 chłopaków. Kiedy już wszyscy powiadali na statek, kapitan oznajmił nam, że płyniemy na drugi brzeg zalewu. Była to dla nas wielka frajda i przygoda przepłynąć statkiem, a przy tym przygrywała nam jeszcze marynarska orkiestra przez cały czas płynięcia na drugi brzeg. Było to dla nas zdumiewające, że tak mile i serdecznie nas przywitano. Każdy z nas myślał, że będziemy musieli służyć w Armii Czerwonej. Gdy wysiedliśmy na drugim brzegu zalewu, to spodziewaliśmy się, że zaprowadzą nas do miasta do koszar. A tymczasem zobaczyliśmy rozległą tundrę porośniętą ubogą roślinnością. Była tu osada drewnianych domków, a także drewniane ulice z bali i chodniki wyłożone deskami na bagnistym terenie. Wyglądało to na wielką nędzę i ubóstwo tego rejonu. Po uciążliwym marszu doprowadzono nas do koszar. Były to zwykłe drewniane baraki bez światła elektrycznego. Łóżka także drewniane, piętrowe na których nas rozlokowano. Przede wszystkim było to dla nas bardzo ważne, że po trzytygodniowej tułaczce różnych przygód i nie wygod mogliśmy odpocząć w łóżku. Zasnąć w nim było trudno przez wszy, które podczas tułaczki zdążyły się zdomowić w naszych ubraniach.

11 sierpnia 1944 roku pobudkę zrobiono bardzo wcześnie. Nikt nie był przyzwyczajony do wojskowych rygorów. Ale musieliśmy jemu podporządkować się. W pierwszej kolejności poprowadzono nas do łaźni, która stała nad brzegiem zalewu. W łaźni wody i pary nikomu nie brakowało, był to prawdziwy relaks ciała i duszy. Po tym zabiegu otrzymaliśmy czystą bieliznę, umundurowanie drelichowe i trzewiki. Wyglądaliśmy już jak prawdziwi, rosyjscy żołdacy, lecz nie mieliśmy żadnej uciechy. Tęskniliśmy za swoim krajem tak bardzo daleko od nas. Myślami zawsze byliśmy w domu, w swojej rodzinie i przy swoich, znajomych dziewczynach. Cieszyło nas tylko, że pozbyliśmy się brudów, wszy i że byliśmy traktowani jak zwykli żołnierze. Prosto z łaźni prowadzono nas do wojskowej stołówki. Stołówka była czysta i odświeżona. Dowiedzieliśmy się, że od kilku dni oczekiwano przybyszów z byłej Polski, by ich godnie spotkać i ugościć jak należy.

(Nawet nie widzieliśmy kiedy oni byli i dlaczego i po co odwiedzili Archangielsk. Wszystko przed nami trzymane w tajemnicy. Dowiedzieliśmy się już w Polsce, że to była delegacja oficerów polskich, która na terenie Rosji organizowała Armię Polską. Ci oficerowie dobrze wiedzieli, że na Białorusi podczas mobilizacji do Armii Czerwonej trafiło dużo Polaków. Byli oni wywiezieni do Archangielska na ćwiczenia

przygotowawcze dla zasilania i uzupełnienia poległych żołnierzy Armii Czerwonej na froncie).

Na śniadaniu z jadła nie było nic nowego, tylko to samo co było w drodze. Na stół posypano po kupce sucharów przy każdej misce. Zupa była z ryby z dodatkiem kawałka ryby smażonej lub gotowanej. To samo na obiad i kolację i tak codziennie w kółko. Ale cóż, wyboru nie mieliśmy, co dawano to trzeba było jeść. Jedzenie monotonne tak zbrzydło, że stołówka z daleka śmierdziała rybą. Po śniadaniu prowadzono nas do fryzjera. Strzyżono nas i golono gdzie tylko były włosy, a fryzjerem była ładna, młoda kobieta. Następnie prowadzono nas do lekarza, a była nim także kobieta. Zapowiadała, że żeby każdy rozebrał się na golasa i czekał na korytarzu w kolejce do badania. Po dość dokładnym badaniu i obejrzeniu wszystkiego powiedziała:

- Choroszyj z was budiet żołdat – odiewajties.

Jak w Archangielsku, tak i w całej Rosji sprawowały władzę i pracowały na urzędach tylko kobiety. Mężczyzn w sile wieku nie było wcale oprócz wojskowych, którzy szkolili wojsko i kadry oficerskie. Natomiast dzieci tu można było spotkać wszędzie wałęsających się bez żadnej opieki obdartych, brudnych i głodnych. Szczególnie kręcili się koło naszej stołówki prosząc o jedzenie:

- Dziadziuszka, daj sucharka – a w zamian dawali nam papier do pisania, koperty i ołówki, była to jakby wymiana towaru za towar. Chociaż sami nie dojadaliśmy ale suchary braliśmy do kieszeni i rozdawaliśmy dzieciom. Cieszyli się z tego bardzo i szczerze nam dziękowali. Przekonaliśmy się, że naród rosyjski cierpi w wielkiej biedzie i w nędzy przeżywając czas drugiej wojny światowej.

Od 12 sierpnia 1944 roku codziennie był wymarsz na pole i do tundry na ćwiczenia i zapoznanie się z bronią w przygotowaniu się do wojny. Najpierw ze zwykłym karabinem, następnie z bronią automatyczną i granatami różnego typu. Następnie trwały ostre strzelania do różnych celów. Odbywało się to wszystko w tempie przyspieszonym, aby w jak najkrótszym czasie osiągnąć umiejętności walk i nowe siły wysłać na front. Z pola ćwiczeń musieliśmy zdążyć na wyznaczony czas obiadu. Ciekawe było, że po obiedzie trzeba było kłaść się do spania tak jak na noc. Spanie trwało jedną godzinę, a po pobudce znowu wymarsz w tundrę na ćwiczenia. Po kolacji, kiedy przebywaliśmy w koszarach codziennie odwiedzał nas „politruk”. Spisywał wszelkie formalności personalne, a także zadawał się z nami w różne pogawędki i udawał bardzo miłego i grzecznego oficera. Jak dotąd prawie wcale nas nie znali, mogliśmy wymyślać i podawać różne dane o sobie, jeżeli ktoś z tego mógł skorzystać. Ale w tak młodym wieku nikt nie był doświadczony i do tej sprawy podchodziliśmy dość uczciwie. W naszej sali były cztery łóżka piętrowe, czyli było nas ośmiu dobranych kolegów. Zawsze i wszędzie trzymaliśmy się razem. Po uprzedniej pogadance oficer przystąpił wreszcie do spisowywania wszystkich formalności związane z daną osobą. Co kto powiedział źle czy dobrze było już aktualne i niepodważalne.

Najbardziej dotknęło „politruka”, że my podaliśmy polską narodowość, bardzo się zdziwił, po prostu to go zaskoczyło i powiedział:

- Jak to możliwe, że wy mieszkaliście na Białorusi a podajecie się za Polaków?

On myślał, że kto mieszka na Białorusi to musi być Białorusinem. Odpowiedź nas wszystkich była jednoznaczna i stanowcza:

– Żyliśmy na Białorusi ale jesteśmy Polakami i tego nie da się zmienić, nawet nasze nazwiska o tym świadczą.

„Politruk” jednak do końca nie był przekonany. Jemu chodziło a byśmy się zapisali jako Białorusini i do tego nas grzecznie namawiał. Obiecywał znacznie lepsze warunki jak: szkoły podoficerskie i oficerskie. Tłumaczył nam, że ich uczono jak władza polska przed wojną na Zachodniej Białorusi gnębiła narodowość białoruską wszelkimi sposobami. To chyba była prawda – tak nam grzecznie oświadczył. Że w naszej armii będzie o wiele wam lepiej. Długo jeszcze z nami rozmawiał na różne tematy, a szczególnie polityczne. A kiedy odchodził życzył nam dobrej nocy. Tym, czym nas agitował nie braliśmy pod rozwagę. Przecież wiedzieliśmy dokładnie jak w roku 1939 obchodzili się z Polakami. Ile wywieźli na Sybir, ile we więzieniach straciło życie, ile bez powodu rozstrzelano. To była wielka tragedia dla Polaków żyjących na Białorusi i Ukrainie. Wreszcie oficerowie zaczęli przychodzić w nocy. Budzili nas i pytali:

- Kakaja wasza nacjonalność?

My jednak postanowiliśmy, co będzie to będzie a narodowości nie zmienimy. Jak się później dowiedzieliśmy się, że to samo działo się i po innych salach. Gdy byliśmy na ćwiczeniach, to w czasie przerw spotykaliśmy się z innymi chłopakami, którzy to samo postanowili, by nasze decyzje nie zmieniać. A co z tego wyniknie, to nikt z nas nie wiedział. Czas na decyzję dowódców przeżywaliśmy bardzo nerwowo. W naszych głowach kłębiły się różne myśli.

16 sierpnia 1944 roku rano o wyznaczonej godzinie idziemy na śniadanie. Bardzo chłodny ranek, przymrozek i zimny wiatr od morza daje się nam bardzo we znaki. Byliśmy przecież bardzo lekko ubrani, tylko podkoszulki i rubaszki drelichowe. Każdy drży z zimna. Po śniadaniu na stołówkę przyszedł oficer w randze kapitana i ogłosił, że teraz wszyscy idziemy na wiec, na plac wojskowy. Byliśmy ciekawi, co to mogło się wydarzyć? Byliśmy zaniepokojeni i myśleliśmy, że to może być pomyślna wiadomość z frontu. Albo też może coś w stosunku do nas, że my twardo postanowiliśmy być Polakami. Może teraz na oczach wszystkich odbędzie się segregacja i zsyłka na Sybir? Idąc na wiec myśleliśmy, że stanie się coś niedobrego. Byliśmy przygnębieni i zamyśleni. Plac był ogromny i służył dla różnych, wojskowych imprez i manifestacji. Żołnierzy ustawiono dwójkami dookoła placu. Na środek placu wszedł pułkownik ze swym sekretarzem i powiedział:

- Uwaga! Uwaga! Ci żołnierze, którzy zostaną wyczytani niech wystąpią dwa kroki do przodu.

Wszystkim Polakom z zimna zrobiło się gorąco. Szepczemy między sobą, że z nami będzie koniec. Czekają nas Sybir, ciężkie roboty i tam wyginiemy z głodu i chłodu. Zapanował nastrój trwogi i czekamy na ostatnie słowa pułkownika. Wyczytywanie nazwisk trwało długo. Niecierpliwie czas się dłużył chociaż było nad czym rozmyślać. Po wyczytaniu nazwisk trwała krótka przerwa. Na placu zapanowała cisza. Pułkownik po raz drugi powtórzył:

- Uwaga! Uwaga! Żołnierze którzy zostali wyczytani i wystąpili z szeregu od tej chwili są zwolnione z szeregów Armii Czerwonej.

Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć. Pułkownik znowu powtarza:

- Wnimanije! Wnimanije! Eti żołdacy ujeżdżajut do Polskoj Narodnoj Armii.

Gwałtownie powstało wielkie zamieszanie radości. Krzyki hurra, niezwykle hałas, śpiewali, szaleli z radości, tańczyli na placu bez muzyki. Byliśmy oszołomieni wspaniałą wiadomością. Nigdy takiego czegoś nie spodziewaliśmy się. Nikt nam o tym nie wspominał, że jeszcze gdzieś istnieje Polska i organizuje swoją armię. Tutaj była utrzymywana wielka tajemnica dla Polaków, którzy trafili do Archangielska. Kiedy dowództwo dowiedziało się, że tu trafiło wielu Polaków to jego tajemnica musiała być ujawniona. Wielu chłopaków i starszych mężczyzn z naszych stron z braku jakichkolwiek informacji podali się za Białorusinów, gdyż kompanie wojska były zbyt daleko od siebie. Z powodu braku komunikacji niektóre z nich nic nie wiedzieli o tak ważnej sprawie. Patrząc na nas, że my tak się cieszymy z tak wielkiej nowiny to Ich ogarnął wielki smutek i z żalu płakali jak dzieci. Z żalu swoich Rodaków przestaliśmy szaleć z radości. Współczuwaliśmy Im, że pozostają bez nas na dalekim pustkowiu tundry daleko, daleko od swojej Ojczyzny i nie będą się cieszyć razem z nami w polskich mundurach. Któż to mógł się spodziewać, że tak dramatyczny los rozłączy nas Przed szlakiem walki o wolność swojej Ojczyzny. Czy ktoś zrozumie czytając mój pamiętnik, jak straszny dramat przeżywali nasi Rodacy podczas pożegnania się z nami?

POŻEGNANIE Z TUNDRA

Nam kazali natychmiast zgłosić się po suchy prowiant na drogę i przygotować się do wymarszu. Szykowaliśmy się z wielką radością do Polski chociaż wiedzieliśmy, że z pewnością trafimy na front. Zaraz po południu wyruszyliśmy w drogę do portu. Statek w porcie był już dla nas przygotowany. Kiedy już byliśmy na tym samym statku, wyruszyliśmy w drogę powrotną na drugi brzeg zatoki. Odprowadzano nas z honorami. Znowu przez cały czas grała nam ta sama orkiestra. Było przyjemnie i wesoło jak gdyby na wycieczce. Śpiewaliśmy polskie piosenki jakie tylko umieliśmy. Podróżujące Rusaki chętnie ich słuchali. Jeden z nich powiedział:

- Eto nastajaszczyje Palaczki. (To są prawdziwi Polacy). Żelajem Wam szczastliwoj puti w Polskuju Armiju !

Przez niecałą godzinę dopłynęliśmy do portu przy stacji kolejowej. Pociąg już był dla nas podstawiony. Z wesołym nastrojem wskakiwaliśmy do wagonów. Pociąg stał kilka godzin. Nasza „paka” znajomych zawsze pilnowała się być razem. Gdy wieczorem pociąg ruszył z radością opuszczaliśmy Archangielsk, gdyż jego nieprzyjemne okolice tundry nie dały się polubić.

PODRÓŻ DO POLSKI

17 sierpnia 1944 rok nasz pociąg pędził ciemną nocą w kierunku Moskwy. Co raz to dalej pociąg oddalał się od surowej północy. Podczas podróży często wspominaliśmy swoich, nieszczęśliwych,

zostawionych Rodaków, którzy nie mieli żadnych szans walczyć razem o wolność swojej Ojczyzny. My mieliśmy powód do uciechy, że jedziemy do Polski w cieplejszy kraj, do bliżej Rodzinnych Stron. Nie martwiliśmy się co z nami będzie dalej i co nam zgotuje los wojny. Cieszyliśmy się bardzo że nie będziemy walczyć o stalinowską Rosję. Marzyliśmy tylko, by po tułaczce, po wyzwoleniu Polski wrócić do swoich domów, do swoich rodzin, do swoich, stęsknionych za nami dziewcząt, do których z pewnością wielu z nas nie wróci.

24 sierpnia 1944 rok ze swoimi marzeniami jechaliśmy przez siedem długich dni i wreszcie dotarliśmy do Moskwy. Tu było całkiem inne powietrze, całkiem inny klimat, gdyż tu jeszcze trwało ciepłe lato, którego w tundrze tego nie doznaliśmy. Na postoju w Moskwie otrzymaliśmy uzupełnienie w suchy prowiant i w to samo co zwykle, ale już nie wybrzydaliśmy, nawet już przyzwyczailiśmy się do niego. Ważne było, by tylko przetrwać i dotrzeć do Polski, tam z pewnością prowiant będzie lepszy.

Pociąg z Moskwy wyruszył wieczorem. Konwojowało nas tylko dwóch sowieckich żołnierzy, którzy przez cały czas przebywali w parowozie z maszynistą. Do naszych wagonów wcale nie zaglądali. Czuliśmy się naprawdę wolni, tak jakby wracaliśmy z niewoli do domu, ze swoimi planami na przyszłość. Byliśmy już przyzwyczajeni do tak długich podróży. Po opuszczeniu Moskwy chociaż jak zawsze w niewygodzie przespaliśmy całą noc. Kiedy wschodziło słońce już wszyscy nie spaliśmy. Wg niego obserwowaliśmy, by się upewnić czy aby nie jedziemy na wschód. Gdyby tak było, to byłaby rozpacz i tragedia naszych marzeń. Stwierdziliśmy, że jednak jedziemy prosto na południe. Przypuszczaliśmy, że podążamy na Ukrainę. Ulżyło to nam bardzo na sercach i znacznie poprawiły się humory. Na dłuższych postojach na stacjach rozpalaliśmy ognika między torami i gotowaliśmy sobie w kociołkach wodę, a żeby z parowozu nie brać brudnej. Rozprowadzaliśmy swój koncentrat i takim, niezmiennym daniem zaspakajaliśmy nieco swoje apatytę. Najważniejszym było, że Polska jest co raz bliżej i że już jesteśmy na ziemi ukraińskiej. Mieliśmy takie wrażenia jak gdybyśmy się zbliżali do domu. Wiedzieliśmy dokładnie, że nasz udział w wojnie nie ominie i nie przywitamy się ze swoimi Rodzinami. Będziemy musieli dalej za Nimi tęsknić i walczyć za Ich wolność, za Ich cierpienia, za Ich łzy tęsknoty i niepokoju po swoich, najdroższych, wojennych tułaczach. Najbardziej byliśmy dumni, że będziemy walczyć z honorem w polskich mundurach za wolność własnej Ojczyzny i to nas podtrzymywało na duchu.

30 sierpnia 1944 roku dotarliśmy do Kijowa. Chociaż byliśmy bardzo zmęczeni tak długą i uciążliwą podróżą nie poddawaliśmy się ponurym nastrojom. Mieliśmy powody do uciechy. Tu pociąg zatrzymał się na dłuższy czas. Była wymiana lokomotywy, maszynisty i konserwacja całego zestawu pociągu. Mieliśmy dużo wolnego czasu na rozmowy z ukraińskimi cywilami. Dowiedzieliśmy się od nich, że front dotarł do Warszawy i czeka na rezultaty powstańczych walk lewobrzeżnego miasta. Tu nikt nas nie nadzorował, robiliśmy co chcieliśmy. Postanowiliśmy rozejrzeć się co się dzieje na terenie miasta. Nie daleko od stacji trafiliśmy na plac targowy, który był zatłoczony mnóstwem ludzi. Trwał handel najróżniejszymi towarami, tak jakby tu nigdy nie było wojny. Nie było tu widać żadnych, wojennych zniszczeń. Przekonaaliśmy się, że na tym targu można wszystko sprzedać i wszystko kupić co tylko na co dzień potrzebne. Nasze zainteresowania skupiały się na bułkach, lepioszkach i plackach różnego rodzaju. Połykaliśmy więc tylko ślinkę patrząc na takie smakołyki. Takich rarytasów dawno, dawno nie jedliśmy i nie widzieliśmy na oczy a tu takie bogactwo pszennego pieczywa. Patrząc na to wszystko nasz apetyt szalał po codziennym spożywaniu jedynie suchary i suszone ryby. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak zdobyć tyle pieniędzy, by chociaż na drobną przekąskę trochę tego kupić? Po krótkim rozmyśleniu ustaliliśmy, że możemy sprzedać tylko mocne, ładne trzewiki, którzy z chłopców je posiadają. Każdemu obejrzelismy to obuwie i podsumowaliśmy, że będzie ze sześć odpowiednich par na sprzedaż. Jeden z nas zapytał:

- Czy ci z dobrym obuwie zgadzacie się pozostać w skarpetach? - Padła jednogłośnie odpowiedź – Tak! Tylko jak na bosaka pojedziemy do Polski?

Jeden z nas powiedział:

- Wojsko polskie spół czuje nam ciężkie czasy w Rosji i da nam nowe buty.

Zaraz koło drzwi wagonu znalazło się sześć par dobrych butów. Oczyszciliśmy je ładnie z błota, a żeby jeszcze lepiej wyglądały posmarowaliśmy towotem od parowozu i towar był gotowy do handlu. Trzech z nas wzięło na rękę po dwie pary i udaliśmy się na targowisko. Okrążyło nas wiele kupców widząc tak deficytowy towar, którego po wojnie tak bardzo brakowało. W moment sprzedaliśmy sześć par. Widząc tak ogromny popyt kupujących, więc zaproponowaliśmy im jeszcze swoje gorsze buty do sprzedaży. Zapłacono nam tyle co za te dobre i wszyscy trzej zostaliśmy w skarpetach. Pośmieliśmy się same z siebie i

z optymizmem myśleliśmy, że jakoś to będzie. Do Polski jest już blisko, przez tych parę dni wytrzymamy a pogoda jest jeszcze letnia i ciepła. W wojsku będą musieli dać nam nowe buty. Trochę żalowaliśmy, że za ten lepszy towar wystawiliśmy za niską cenę, ale i tak uzyskaliśmy kupę pieniędzy. Dla wszystkich w wagonie kupiliśmy trzy kg. kiełbasy i mnóstwo bułek różnego rodzaju. Po tak długim poście każdy sobie pojadł ze smakiem. Bułek nam jeszcze zostało na dalszą drogę. Suchy prowiant, który otrzymaliśmy w Moskwie już nam się kończył. Musieliśmy więc żywność kombinować we własnym zakresie. Akurat po naszej wspaniałej uczcie pociąg wyruszył w dalszą drogę. Z uczuciem radości i zadowolenia chociaż dziewięciu na boso obserwowaliśmy jak pędzimy na zachód prosto do naszej Polski.

3 września 1944 roku wczesnym rankiem jesteśmy na przedwojennej granicy polsko-sowieckiej w Sarnach. Mamy więc już upragnioną, swoją Polskę. Cieszyliśmy się w wielkiej radości, ale nie wiedzieliśmy jeszcze, że przedwojenne ziemie polskie jak miasto Sarny, Lwów i wiele innych miast nie będą należeć do Polski, lecz do Związku Radzieckiego i to nas bardzo zmartwiło, że Polska będzie mniejsza, biedniejsza i zrujnowana przez wojnę. Na dłuższym postoju oglądaliśmy ruiny miasta Sarny. Razem z dworcem kolejowym stacji węzłowej nie widzieliśmy ocalałego budynku. Ze smutkiem patrzyliśmy czego dokonała wojna. Następnym miastem był Kowel i wyglądał tak samo jak Sarny. Jeszcze gorszym smutkiem było, że nam żywność skończyła się do reszty. Przez całe, trzy dni nic nie jedliśmy. Byliśmy bardzo głodni. Kiedy pociąg zatrzymywał się na małej stacji, by uzupełnić wodę w parowozie obserwowaliśmy, czy w pobliżu na polu nie ma grochu, sadu lub ogrodu? Kiedy naszego pociągu zapiszczały hamulce, w pobliżu dostrzegłyśmy spory sad i cała nasza armia wysypała się z pociągu i pędziła po jabłka z całych sił. Zrozpaczony gospodarz nas dostrzegł, gonił i przeklinał. Jego rozpacz na nic się zdała. Otrześliśmy wszystkie jabłonie. Żalowaliśmy gospodarza, ale musieliśmy to zrobić. Nam było najważniejsze, by przetrwać do końca podróży, a był on już całkiem bliski.

ETAP IV --- LUDOWE WOJSKO POLSKIE



6 wrzesień 1944 rok tego dnia po południu pociąg zmniejsza szybkość na dużej stacji. Wnet pojawił się na tablicy duży napis – LUBLIN! Byliśmy ucieszeni. Po zatrzymaniu się pociągu pojawili się nasi, sowieccy konwojenci i krzyczeli:-

Wysiądać! Wysiądać! Koniec podróży!- Chociaż wszyscy byliśmy zmęczeni i głodni ale uradowani końcem udreki, która trwała całe dwa tygodnie.

Wszyscy z wagonów wyszliśmy na peron, który zapełnił się żołnierzami jeszcze w rosyjskich mundurach. Konwojenci z dworca gdzieś zadzwonili. Na peronie czekaliśmy około godziny. Przed dworcem pojawił się wojskowy „gazik”. Wysiadło z niego trzech polskich żołnierzy w tym oficer w randze kapitana. Na peronie przywitani się z rosyjskimi konwojentami. Po krótkiej rozmowie i przekazaniu dokumentów kapitan na peronie zarządził zbiórkę w dwuszeregu. Przywitał nas tradycyjnym: – czołem żołnierze. - Po kolejno odlicz widocznie stan nasz się zgadzał, gdyż po wymianie dokumentów polski oficer podziękował rosyjskim konwojentom, którzy natychmiast udali się na dworzec. Oficer jednemu ze swoich żołnierzy polecił, by nas wszystkich odprowadził do przygotowanego dla nas lokum, a z drugim (bodajże sekretarzem) odjechał samochodem.

7 wrzesień 1944 roku w czasie pięknej, polskiej, „złotej jesieni” jesteśmy w Lublinie na „Majdanku”. Tu pierwszą noc po długiej i męczącej podróży odpoczywaliśmy normalnie i spokojnie w wojskowych barakach. Pobudkę zrobiono o szóstej godz. rano tak jak w wojsku choć jeszcze nie byliśmy polskimi żołnierzami. Wyglądaliśmy na strudzonych, brudnych włóczęgów. Oficerowie oglądając nas śmieli się z naszych łachmanów i z żołnierzy na bosaka. Nawet nie zapytali gdzie nasze buty. Orientowali się co z nimi się stało, gdyż my nie byliśmy pierwszymi przybyszami ze wschodu. Zaprowadzono nas do łaźni pod prysznic. Zostawiliśmy tam mnóstwo brudu i smrodu. Otrzymaliśmy czystą bieliznę, nowe buty i nowe umundurowanie. Każdy sobie dobierał, dopasowywał, a żeby wyglądał na zgrabnego i schludnego żołnierza. Wszyscy wyglądaliśmy jednakowo i trudni do rozpoznania jeden od drugiego. Z łaźni po przebraniu przyszliśmy na piękną, czystą i przyjemną stołówkę, która także była w baraku. Stoliki zastane, krzesła nowe, wszędzie świeżo, czysto i kulturalnie. Śniadanie normalne, wojskowe, smaczne i kaloryczne. Zniknęły wreszcie suchary i słona ryba. Najważniejsze, że porządnie najedliśmy się po kilkudniowej głodówce. Po

śniadaniu zaraz zbiórka przed barakami. Jeden z oficerów opowiadał gdzie my się znajdujemy.:

- Na pewno o tym nic nie wiecie, że znajdujemy się na terenie byłego obozu koncentracyjnego „Lublin – Majdanek”. Te wszystkie baraki co tu widzicie przebywali w nich więźniowie różnej narodowości, przede wszystkim żydowskiej. Cały obszar tego obozu jest ogromny i ogrodzony drutem kolczastym, a w nim był podłączony prąd wysokiego napięcia. Który z więźniów odważył się jego dotknąć, to już był śmiertelnie porażony.

Słuchaliśmy tego opowiadania z wielką uwagą, która to była napęczniona straszną grozą, coś nieludzkiego, o takim czymś nikt nie słyszał. Oficer opowiadał dalej o jeszcze straszniejszych, przerażających scenach.

- W każdym narożniku tegoż ogrodzenia widzicie wysokie wieżyczki. W nich czuwali i obserwowali teren niemieccy strażnicy wyposażone w lornetki i karabiny maszynowe. Dookoła obozu jak widzicie są jeszcze lampy elektryczne, które bardzo silną jaskrawością oświetlały obóz w ciągu nocy. W pobliżu widzicie już ruiny pieców, tj. krematoria. W tych piecach palono więźniów po ich uprzednim zagazowaniu. Jak będziecie chcieli, to możecie sobie obejrzeć je z bliska.

Po smakowitym obiedzie, który składał się z trzech dań mieliśmy wolne. Zwiedzaliśmy obóz zagłady. Pozostałości po nim przerażały nas. Trudno nam było uwierzyć, że podczas wojny w Polsce znajdowały się takie obozy zagłady ludzkości.

Po zwiedzeniu obozu wróciliśmy do baraków z myślą, że jeszcze do kolacji poleżymy sobie i odpoczniemy. Każdy z nas myślał, że jutro z pewnością pogonią nas na ćwiczenia. Stało się jednak całkiem coś innego. Porucznik nic nie uprzedzając zarządził zbiórkę na placu. Każdego wypatrzonego wskazywał ręką, by wystąpił dwa kroki do przodu. Wystąpiło ponad pół setki chłopaków a między nimi i ja się znalazłem. Wszystkim pozostałym żołnierzom kazał odmaszerować i spędzać czas we własnym zakresie. Kiedy na placu zostaliśmy tylko my porucznik oznajmia nam, że jeszcze dzisiaj po kolacji z nim wyruszymy do Lubartowa na szkołę podoficerską na trzy miesiące. Czy to była dobra nowina czy zła w tym czasie trudno było określić, nikt się nad tym nie zastanawiał.

8 września 1944 roku maszerowaliśmy przez całą noc i wczesnym rankiem byliśmy w Lubartowie odległe od Lublina 24 km.. Mieliśmy krótkie odpoczynki, ale i tak byliśmy zmęczeni i nie wyspani. Tu rozlokowaliśmy się w prawdziwych, wojskowych koszarach. Koledzy z mojej wsi, z którymi cały czas byliśmy razem pozostali w Lublinie. Byłem bardzo smutny zostawiając Ich. Przecież łączyły nas dziecięce ścieżki, rozkwitająca młodość, tułacza niedola i nagle nasze drogi przed walką o naszą wolność Ojczyzny rozeszły się. Musiałem więc pogodzić się z wojennym losem i z rozerwaną więzią z najlepszymi przyjaciółmi z rodzinnych stron.

9 wrzesień 1944 rok po krótkim śnie i wypoczynku, po późniejszym śniadaniu w koszarach zbiórka i wymarsz na pole ćwiczeń. Oficerowie i podoficerowie podczas ćwiczeń nie przejmowali się czy każdy poradzi sobie czy nie. Wszystko musowo było podołać. Żadne skargi nie brano pod uwagę. Ganiali nas po polach, rowach, lasach, po pas w błocie. Kopaliśmy rowy przeciwczołgowe. Budowaliśmy stanowiska dla dział i schrony dla dowódców, wszystko co tylko potrzebne na froncie. W dniach następnych nocne alarmy i wymarsz w pole w pełnym rynsztunku. Wyrusaliśmy w trasy z kamieniami w plecaku i pokonywaliśmy po 15 do 20 km. w ciągu nocy. Z ćwiczeń wracaliśmy do koszar ogromnie zmęczeni i wypapranii w błoto. Trzeba było natychmiast ubranie wyczyścić, wypucować buty i doprowadzić się do pełnego porządku i wyglądu. To była najważniejsza zasada stanąć eleganckim na zbiórce do przeglądu. Jeżeli coś stwierdzono nie tak jak powinno być, natychmiast wysyłano do poprawki, a dopiero wtedy na odpoczynek i śniadanie.

Odechciało nam się szkoły podoficerskiej, gdyż mieliśmy zbyt wiele trudów i wysiłków ponad nasze możliwości. Po miesiącu byliśmy wyczerpani i załamani. Ale młode ciało może wiele wytrwać, utracone siły nawet po krótkim wypoczynku szybko się regenerują. W późniejszym okresie było już znacznie łatwiej i lepiej. Zaczęły się lekcje teoretyczne i praktyczne ćwiczenia z bronią różnego rodzaju, ostre strzelania i wykłady w zakresie taktyki wojennej. Trwało to ponad dwa tygodnie. Wiedzieliśmy, że po etapie tego szkolenia zamienimy swoją lokalizację.

26 października 1944 roku z Lubartowa po śniadaniu maszerowaliśmy 30 km. do miejscowości Białka. Tu były piękne stajnie przedwojennej kawalerii w dość dobrym stanie utrzymane. W tych stajniach już mieszkali lokatorzy do których nas także dołączono i utworzono cały, szkoleniowy batalion podoficerów.

Rozmieszczono nas na prymitywnych pryzkach, które były wykonane przez poprzednich żołnierzy. Na te pryzce ponanosiliśmy świeżych gałęzi prosto z lasu i tak żeśmy na nich spali. Nikt nie narzekał, że na nich źle się spało. Oprócz tego wszystko było dobrze zorganizowane i panował porządek. Zrozumieliśmy, że były to tymczasowe koszary na letni okres. Kuchnia i toalety były polowe, znajdowały się na brzegu lasu w pobliżu naszych koszar. Jedzenie z kuchni polowej było także dobre i na nic nie można było narzekać. Jedynie narzekaliśmy, że od nowa powróciły uciążliwe ćwiczenia, nocne alarmy jak w Lubartowie, a nawet jeszcze gorsze. Te nocne marsze, treningi wg naszego pojęcia w ogóle nie były do czegośkolwiek przydatne, lecz tylko znęcanie się na żołnierzach nie wiadomo za co. Może chcieli uodpornić naszą kondycję na różnego rodzaju wojennego trudu? Przede wszystkim był to durnowaty zwyczaj podoficerów, którzy chcieli się wyżyć swoją dumą na swoich młodszych kolegach. Ten zwyczaj do dziś praktykuje się w różnych państwach, ale on nigdzie nie służy dla ogólnej, wojskowej przyjaźni.

Całym szefem jednostki szkoleniowej był rosyjski kapitan w polskim mundurze. Nie wiele znał polskich słów. Wyższe dowództwo powierzyło mu 3 kompanie żołnierzy, by ich wyszkolić na dobrych podoficerów Wojska Polskiego, których był duży niedobór na froncie. Komendant szkoły utrzymywał wielki rygor, dyscyplinę i porządek na obiektach szkoleniowych. Po tygodniu zaczęły krążyć pogłoski, że są nie zadowolenia wśród żołnierzy, szemranie w grupkach jak gdyby się coś organizowało. Po prostu, nie lubili jako dowódcę sowieckiego oficera, i myśleli, że celowo pastwił się nad polskimi żołnierzami. Po upływie dwutygodniowego szkolenia w Białce stało się coś niezwykłego, wprost nie do uwierzenia. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że coś takiego może się zdarzyć w tak zdyscyplinowanym obiekcie szkoleniowym.

10 listopada 1944 rok po północy obudziłem się przez jakąś krzątanicę i przytłumione rozmowy. Część żołnierzy pośpiesznie wstaje, ubiera się i śpieszą w stronę magazynu broni. Inni także obudzili się i leżą dalej jak gdyby nic się nie stało. Ja także leżę strwożony i wpatruję się w mrok, nie wiem co się dzieje i o co tu chodzi. Nie wstajemy i czekamy na rozwiązanie zagadki. Wiemy, że pobudki nie było ani alarmu co się zdarzało nieraz nocami. Po pół godzinie wszystko ucichło. Cała nasza sala nie spała i czekaliśmy aż do rana na wyjaśnienia co tu się wydarzyło. Gdy już rozwidniło reszta żołnierzy zaczęła wstawać nie wiedząc co dalej czynić. Żaden dowódca nie zjawia się. Nikt nie wydaje rozkazów do pobudki. Żołnierze poubierali się i powychodzili na plac koszarowy. Stwierdziliśmy wszędzie pustkę. Z placu zniknęły działa, samochody, moździerz a nawet i kuchnie polowe. Nadal zagadki nie rozwiązaliśmy. Wkrótce zjawił się przy nas komendant szkoły ten rosyjski kapitan. Zawsze i wszędzie poruszał się ze swoim adiutantem – sierżantem, tym razem był sam. Zauważył, że przy nas zgromadzonych nie ma żadnego dowódcy. Wszyscy staliśmy w rozsypce, więc zarządził w dwuszeregu zbiórkę i kolejno odlicz. Doliczono więc do 40, to znaczy, że zostało nas 80 żołnierzy. Smutny kapitan jakiś czas stał bez ruchu, w końcu po cichu powiedział po rosyjsku:

- Kogda chotitie to i wy uchaditie w les, niczewo wam nie zdielaju, mnie i tak pula w łob.

My przypuszczaliśmy, że polscy, przedwojenni oficerowie nie chcieli podlegać sowieckiemu komendantowi i zdecydowali się ze swoimi, namówionymi, niedopieczonymi podoficerami bez porozumienia się z wyższym dowództwem samodzielnie wyruszyć na front. Ale, skoro kapitan wspomniał las, to oznaczało, że jeszcze po lasach kryło się AK. Na pomoc powstańcom Warszawy nie mogli wyruszyć, gdyż dowództwo wiedziało, że ono zakończyło się 3 października. Nikt z żołnierzy nie dowiedział się co się stało z około 200 żołnierzami. Uciekając zabrali ze sobą cały majątek jednostki. Kapitan z opuszczoną głową odszedł od nas do swojej kwatery. Nie dowiedzieliśmy co z nim się stało. Z pewnością oddano go pod sąd polowy. Cała, nasza kompania została sama bez żadnego dowódcy. Ten samopas trwał całą dobę. Stwierdziliśmy, że także połowa prowiantu z magazynu została zabrana przez uciekinierów

Na drugi dzień po ucieczce wojska wyższe dowództwo przysłało do nas porucznika Polaka z dwoma kierowcami i z dwoma samochodami ciężarowymi „studobaker”. W związku z tym wydarzeniem szkoła podoficerska przestała istnieć. Żołnierze, którzy pozostali nie popierali tak ryzykownej decyzji swoich dowódców. Wszyscy byli niezadowoleni z przerwania szkolenia.

WYMARSZ NA FRONT

12 listopada 1944 rok. Nasz nowy dowódca zorganizował nam śniadanie. Po śniadaniu na zbiórce powiedział:

-Czeka nas długa i trudna droga, będziemy maszerować aż do Warszawy. Po drodze mogą nam się przydarzać różne, nieprzyjemne przypadki i problemy. Tą trudną drogą będziemy podążać do linii frontu,

gdzie będziemy brać udział w walkach. Dzisiaj przez cały dzień mamy czas przygotowywać się do podróży.

W magazynie było sporo prowiantu, więc na jeden samochód staraliśmy się jak najdokładniej ułożyć i jak najwięcej załadować prowiantem. Po obiedzie sporządzonym własnym sposobem ładowaliśmy drugi samochód zapasowymi butami, umundurowaniem i bielizną, a także bronią i amunicją. Zarezerwowaliśmy kilka miejsc dla tych, którzy po drodze mogą zesłać.

13 listopada 1944 roku po śniadaniu tylko z plecakami na plecach opuściliśmy Białkę i maszerowaliśmy na spotkanie z wojennym losem. W tej ciężkiej wędrówce minęło nam 5 dni. Po południu bardzo zmęczeni długim marszem wybraliśmy na odpoczynek i posiłek przydrożną łąkę. Kiedy już szykowaliśmy się w dalszą podróż z drogi na naszą łąkę wjechały 2 kryte samochody ciężarowe „studobakery” i „gazik” z oficerami. Wszystkie pojazdy zatrzymały się tuż koło nas. Z uciechą przyjęliśmy to zjawisko i liczyliśmy, że z pewnością nas podwiozą. Po takim utrudzonym marszu przydała by się taka przejażdżka. Podróż nam nieco łagodziła jesienna aura, człowiek tak się nie poci, ale najgorsze jest to, że w długiej podróży dokucza ból nóg. Po rozmowie naszego porucznika z obcym oficerem oznajmił nam:

- Podwiezienia żadnego nie będzie. Tu na tej łące wobec nas odbędzie się sąd polowy dla dwóch żołnierzy jako dezerterów. Uciekli oni z naszej szkoły na swoją rękę wykorzystując moment zamieszania znanej nocy, by uciec do swoich domów, które znajdowały się na terenie województwa lubelskiego. Zostali oni ujęci przez żandarmerię wojskową. Ta rozprawa długo nie potrwa, po wykonanym wyroku pomaszerujemy dalej.

Z jednego samochodu wysiadł pluton egzekucyjny. Dwóch z nich ze szpadlami podeszło do naszej grupy. Wręczyli szpadle dwom naszym chłopakom i wskazali im miejsce gdzie mają kopać dół. Po kilkunastu minutach zmieniono kopaczy. Z drugiego samochodu wystawili stół i krzesła. Za stołem zasiadł skład sądu wojennego. Kiedy dół już był gotowy z samochodu wysiadło dwóch dezerterów tylko w bieliźnie. Podczas prowadzenia do dołu jeden z nich upadł. Żołnierze podnieśli go. Kiedy obaj byli już przy dole i pluton egzekucyjny był przygotowany, oficer – prokurator wstał i odczytał publicznie krótki akt oskarżenia:

- Za zdradę kraju, narodu polskiego, który z wielkim poświęceniem walczy z najeźdźcą hitlerowskim, oraz za zhańbienie munduru żołnierza polskiego, za dezercję z Armii Ludowego Wojska Polskiego domagam się dla dezerterów najwyższego wyroku kary śmierci przez rozstrzelanie.

Następnie wstał oficer - sędzia i powiedział:

- Drodzy tu obecni żołnierze, bardzo mi jest ciężko wydawać wyrok śmierci na żołnierzach - dezerterach z waszej jednostki. Sytuacja naszego kraju jest dramatyczna, bez dyscypliny i poświęcenia żołnierzy nie zwyciężymy wroga, dlatego podtrzymuję decyzję pana prokuratora z natychmiastowym wykonaniem wyroku w obecności żołnierzy, którzy z wielkim trudem i poświęceniem podążają na front, by wziąć udział w walkach za wolność swojej Ojczyzny.

Następnie wstał podoficer dowódca plutonu egzekucyjnego i wydał rozkaz:

- Pluton egzekucyjny, ładuj broń! Ognia!

- W tej chwili ja odwróciłem głowę, nie mogłem patrzeć na tak rozpaczliwą, tragiczną scenę. Po salwie egzekucyjnej, jeden dezerter wpadł do dołu, a drugi upadł obok dołu. Nasi żołnierze włożyli go do dołu i zasypali w nim swoich kolegów. Na tym grobie nie postawiono żadnego krzyża. Po podpisaniu dokumentu egzekucji przez skład sądu i naszego porucznika, oficer - sędzia podziękował nam za uczestnictwo w tym smutnym wydarzeniu i życzył nam wiele sukcesów na froncie, rychłego zakończenia wojny i szczęśliwego powrotu do domów.

To był sąd wojenny, specjalny, pokazowy dla tej jednostki z której uciekli dezerterzy. Ten sąd podbudował nas wszystkich w świadomość, że nie można uchylać się od obowiązku w obronie swojej, wolnej Ojczyzny na którą składają się: Przyjaciele, Rodziny, Żony i Narzeczone, które czekają w trwodze na zwycięstwo i w tęsknocie na powrót swoich bohaterów.

Po odjechaniu składu sądu wyruszyliśmy w dalszą drogę. Dwa nasze samochody wyjeżdżały zawsze przed naszym wylazem. W naszej kompanii było kilku kierowców, więc zawsze jechało dwóch na zmianę. Po drodze wybierali miejsca i organizowali odpoczynki, a także w większych miastach tankowali w magazynach wojskowych pojazdy. Doczekawszy nas razem uzupełnialiśmy prowiant. W niektórych odpowiednich miejscach odpoczywaliśmy po dwa dni dla regeneracji zdrowia. Po polowym sądzie nie mieliśmy ważniejszych wydarzeń. Mniej ważne wydarzenia nie notowałem, a po tylu latach ulotniły się z pamięci.

ETEP V --- FRONT NAD WISŁĄ

15 grudnia 1944 rok z wielkim trudem, wyczerpani, z pokaleczonymi nogami dotarliśmy do prawobrzeżnej Warszawy. Po lewej stronie Wisły po upadku powstania okupowali jeszcze Niemcy. Nam kazali po tak ciężkiej i długiej podróży przez dwa dni odpoczywać.

17 grudnia 1944 rok ważny dzień w moim życiu, bowiem ukończyłem wtedy 21 lat.. W tym akurat dniu przydarzyła się ważna uroczystość. Na przedmieściu Warszawy w Drewnicy na placu miejskim składaliśmy przysięgę na wierność Ojczyźnie, narodu polskiego, oraz walczyć aż do zwycięstwa z okupantem hitlerowskim.

W tym też dniu dla naszej kompanii składającą się z 80 żołnierzy dano nazwę: „Druha Kompania Fizylierów Pułkowych 3-ciej Dywizji im. Romualda Traugutta”. Dowódcą naszej kompanii został por. Święcicki, który to zaraz po ukończeniu szkoły oficerskiej przybył do Warszawy z Razania. W Drewnicy otrzymaliśmy nowe pistolety maszynowe, amunicję i granaty. Przez dwa dni ćwiczyliśmy ostre strzelanie. Byliśmy już w pełni przygotowanymi żołnierzami Ludowego Wojska Polskiego do walki z okupantem.

20 grudnia 1944 roku po raz drugi zaprowadzono nas na pokazowy sąd polowy, który odbywał się w tej dzielnicy. Tym razem rozprawa była krótsza. Odczytano tylko wyrok za zdradę Ojczyzny i narodu polskiego dla dwóch dezertersów. Rozebrano ich do bielizny i postawiono tym razem pod mur. Po salwie plutonu egzekucyjnego chłopcy upadli na naszych oczach. Był to bardzo nieprzyjemny moment widowiska. Na tego rodzaju sceny nie każdy może patrzeć. Trzeba mieć silne nerwy i kamienne serce, ale to było przymusowe patrzeć, choć w chwili tak strasznej wielu żołnierzy przymykało oczy. Taka śmierć dla żołnierza jest haniebna. Wielu z nas na pewno się przekonało, że lepiej iść na front, walczyć z okupantem, albo zginąć od kuli nieznanej.

24 grudnia 1944 rok od rana nasza kompania była zakwaterowana na Pradze – Targówku w budynku rozrywki publicznej. Była tam duża sala ze stolikami i bufetem, oraz z kuchnią na zapleczu z kilkoma pomieszczeniami. Po śniadaniu wielu żołnierzy i ja usiedliśmy za stolikami, by napisać listy do swoich rodzin przed planowaną ofensywą wyzwolenia Warszawy. To miał być nasz pierwszy bój o wyzwolenie stolicy. Podczas pisania listu w zadumie, tęsknocie, w nostalgii, w żalu opanowała mnie wena, by dla Mamy napisać wiersz przed pierwszą bitwą:

NAJDROŻSZA MAMO

Pokazywałaś mi świat prowadząc za rękę.
Dla troski o mnie poświęcałaś swoją udrękę.
Dla mnie zostawiłaś wygodę, wybrałaś znój.

Mamo, za Ciebie, za Tatę, za Rodzeństwo, za Warszawę idę w bój.

Mamo, ja już dorosły, zostawiłem na chwilę swoje strony:

Dziecięce ścieżki, młodości dróżki, falujące zagony.

Po zwycięstwie zjawię się, by pomóc zbierać urodzajne plony.

Nie płacz Mamo, ja z pewnością do Ciebie, do Taty, do Rodzeństwa wrócę.

O swoim zwycięstwie, o naszym przyszłym szczęściu rodzinnym piosnkę Wam zanucę.

Po napisaniu tego wiersza cieszyłem się, że chyba dość ładnie go napisałem. Zaraz na kartce zrobiłem odpis i dołączyłem go do swojej, wojennej kroniki. Opisałem Mamie swoją tęsknotę i Warszawę, w której będziemy przez dłuższy czas odpoczywać.

Przed obiadem odpowiedzialny za pocztę polową pobierał do swojej torby wszystkie listy. Po obiedzie pojawiali się cywile z zaproszeniami żołnierzy na Wieczór Wigilijny do swoich domów. Dowódca kompanii mile potraktował życzliwe gesty. Pozwalał swoim podopiecznym spędzić wigilię w domach prywatnych w tak ważne święto przed rychłą, spodziewaną bitwą o wyzwolenie Warszawy. Przed tym każdy żołnierz zaproszony musiał zgłosić się do pisarza kompanii ze swoim zapraszającym, by się wpisać gdzie i pod jakim numerem będzie spędzał wigilię. Zjawiła się także jedna pani, która na wigilię zapraszała czterech żołnierzy. Przez dowódcę kompanii ja także zostałem wytypowany. Po dokonaniu formalności u sekretarza życzliwa pani prowadziła nas do swojego domu. Po drodze opowiadała nam jak wiele przecierpiała przez 5 wojennych lat. Jak jej mąż zginął podczas powstania. W domu przedstawiła nam swoją, młodszą siostrę, która także utraciła swojego narzeczonego już po powstaniu. Kiedy robiła się szarówka wszyscy razem

ubieraliśmy choinkę, którą panie kupiły na targu. Były bardzo zadowolone i cieszyły się, że w tak najważniejsze, doroczne święto w warunkach frontowych goszczą u siebie polskich żołnierzy. Jak wiadomo, że w tym czasie była w Warszawie wielka bieda i niedostatek podczas 5 letniej okupacji niemieckiej, długotrwałym powstaniu i w warunkach frontowych, jednak te panie chciały dla żołnierzy sprawić trochę przyjemności. Za ostatnie grosze kupiły nam skromne upominki pod choinkę. Wszyscy razem odczuwaliśmy prawdziwy, świąteczny nastrój. Każdy żołnierz w tej chwili był myślami w swoim domu w swojej rodzinie i starał się nie załamywać, by w gronie wojskowym z życzliwymi paniami przeżyć tą uroczystość w miłym nastroju. Wiedzieliśmy, że jest wojna a w pobliżu znajduje się front, że nas czeka bitwa o wyzwolenie lewobrzeżnej Warszawy, pomimo to przy wigilijnym stole śpiewaliśmy kolędy i wojskowe piosenki. W takim niezwykłym nastroju panie z nami łączyły się opłatkiem. Ten gest miłych pań z życzeniami zwycięstwa dla nas sprawił wielkie wzruszenie i zadumę. Nastrój zadumy szybko minął, gdy panie zaczęły wręczać dla żołnierzy skromne upominki. Ten moment dla każdego z nas był bardzo delikatny i wrażliwy. Nie jednemu żołnierzowi zakręciła się w oku łezka. Ja zastanawiałem się co to dla mnie przypadnie, bo przecież w paczkach mogą być różne rzeczy. Pięknie ubrana pani z miłym uśmiechem i życzliwością wręczyła mi upominek w torebce. Podziękowałem jej bardzo i ucałowałem w policzek. Wielce się cieszyła z miłego gestu żołnierza. Ja także wielce się ucieszyłem, że dostrzegłem w torebce ciepłe skarpety. Były one dla mnie ratunkiem przed odmrożeniem stóp podczas tak srogiej zimy. Czas pięknej, wigilijnej przygody z pięknymi paniami siedzącymi między nami, czując ich ciepło, opowiadając wzajemnie o swojej młodości minął szybko jak miły sen. Przed godziną 22-gą miłe panie były smutne, że musieliśmy ich pożegnać, by się stawić w wyznaczonym czasie na swojej kwaterze. Wigilię 1944 roku z uroczymi paniami wspominałem przez cały szlak bojowy. A nawet i teraz w poważnej starości już w samotności wspominam piękną, warszawską, wojenną przygodę.

Warszawa – Praga była już wyzwolona 14 września 1944 roku przez Armię Polską i Armię Czerwoną, natomiast Warszawa lewobrzeżna trwała wciąż pod okupacją hitlerowską. Dniem i nocą płonęły domy w mieście, a łuny pożaru były widoczne z dalekiej odległości. Cały czas trwała koncentracja wojsk Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Przygotowywaliśmy się do ofensywy wyzwolenia drugiej części Warszawy. Każdy żołnierz spodziewał się, że będzie brał w niej udział.

Jeszcze w trwającej nocy wigilijnej przed godziną 24-tą dowódca kompanii por. Świącicki zawołał mnie i mojego kolegę do siebie. Zawiadomił nas, że mamy przygotować się do pełnienia warty przy moście Poniatowskiego na Wiśle. Byłem w niepokoju, że dla mnie przypadł w pierwszej kolejności ten obowiązek na linii frontu. Zastanawiałem się, jak ja podołam wywiązać się z tego zadania. Dowódca warty przyprowadził nas obu nad Wisłę do schronu pod mostem. Pouczył nas jak mamy pełnić wartę. Był to most kolejowy, częściowo zburzony, ale cała konstrukcja spoczywała nad samą powierzchnią wody. Można było po niej bez obawy przejść na drugi brzeg rzeki. Brzegi rzeki były zamrożone, Tylko ponoć sam środek rzeki był jeszcze wolny od lodu. W tym schronie można było rozpaść piec żeliwny i ogrzać się na zmianę z kolegą. Cały czas trzeba było obserwować most, by Niemcy czasem nie przeszli na nasz brzeg. W razie ataku mogliśmy zaalarmować swoją jednostkę telefonicznie. W zimnie, w strachu i w obawie przed jakimś, niespodziewanym zagrożeniem przetrzymaliśmy do 6-ej rana na zmianę warty.

25 grudnia 1944 rok dzień Święta Bożego Narodzenia. Na froncie nie było żadnego święta. Po chwilowym odpoczynku otrzymaliśmy inne zadanie. Było ono gorsze i bardziej niebezpieczne. Nad Wisłą za wałem w krzakach stało kilka łodzi wmarzniętych w lód. Otrzymaliśmy z kolegą zadanie, by te łodzie wydobyć z lodu i przenieść za wał. Odległość od Wisły za wał była około 50m. Zadanie to było trudne pod względem fizycznym i niebezpieczne z uwagi na to, że jest linia frontu i trzeba go wykonać w dzień. Nie mieliśmy żadnych narzędzi, by kruszyć lód, prócz łopatek saperskich, które do takiej pracy nie bardzo się nadawały. Rozkaz i zadanie trzeba było wykonać. Przystąpiliśmy więc do pracy. W gołych krzakach z pewnością można było wszystko dostrzec co się dzieje na drugim brzegu rzeki. Zaczęliśmy rąbać lód łopatkami. Te odgłosy usłyszeli Niemcy, że coś musi się dziać na przeciwległym brzegu. Padło kilka serii z karabinu maszynowego. Chować się nie było gdzie, jak tylko za te łodzie. Kiedy obstrzał ustał odczekaliśmy dłuższy czas i znowu przystąpiliśmy do pracy. Po chwil Niemcy otworzyli jeszcze silniejszy ogień. Byliśmy pewni że tych łodzi w takich warunkach nie da się wydobyć. Tym razem za łodziami leżeliśmy jeszcze dłużej. Było już południe, a Niemcy od dłuższego czasu nie strzelali, przypuszczaliśmy, że poszli na obiad. Nie mieliśmy jeszcze wydobytej ani jednej łodzi. Wzięliśmy się znowu do kucia lodu. Przez długi czas panowała cisza. Wydobyliśmy 3 łodzie i zaciągnęliśmy je za wał. Następna łódź była dalej w rzece poza

krzakami. Robiła się szarówka, byliśmy pewni że wydostaniemy ostatnią łódź. Niestety, Niemcy znowu otworzyli silny ogień, w dodatku pojawiły się rakiety jedna za drugą. Było wszystko widać jak w dzień. Leżeliśmy za łodzią i czekaliśmy na śmierć, gdyż drewniana łódź nie powstrzyma kuli. Kule gwizdały wokół nas. Trafione w łódź z trzaskiem ją dziurawiły. Kolega dostał postrzał w nogę. Nogawkę spodni barwiła krew. Ranny zaczął jęczeć z bólu. Oczekałem kilka chwil, aż Niemcy przzerwali ogień. Było już całkiem ciemno. Zdjąłem z pasa troki od łopatki i ścisnąłem nimi kolegi nogę powyżej rany. Włożyłem rannego na ramię i udałem się z nim do kompanii oddalonej około 2 km. Kiedy już byłem bezpieczny za wałem szybko się męczyłem pokonując sporą warstwę śniegu pod ciężarem ciała kolegi, który wciąż postękiwał od bólu. Co jakiś czas musiałem odpoczywać ze zmęczenia i kładłem kolegę na śniegu. Kolega cały czas był przytomny. Widząc moje zmęczenie obawiał się, bym go nie zostawił. Po krótkim jęku mówił:

- Drogi Władziu, proszę Cię, tylko mnie nie zostawiaj, gdyż ja przez noc na takim mrozie w śniegu nie wytrzymam.

Zapewniałem kolegę, że jeżeli padnę ze zmęczenia to oboje razem zginiemy. Po odpoczynkach z trudem zakładałem go na ramię i ruszałem w męczący marsz. Kiedy już byłem na ulicy miasta było już lżej iść. Zaraz dostrzegło mnie dwóch cywili w starszym wieku i uwolnili mnie od ciężaru kolegi. Na kwaterze dowódca kompanii dla cywili podziękował za udzieloną pomoc w ratowaniu życia jego żołnierza. Dowódca dostrzegł, że ja byłem bardzo zmęczony i kazał usiąść. Zadzwoił od razu, by sprowadzić wojskową karetkę do odwiezienia rannego żołnierza do szpitala. Po tej czynności wrócił do mnie z notesem. Wszystko spisał co się wydarzyło na linii frontu. Po tym wywiadzie zwrócił się do mnie:

- Podziwiam cię bardzo Jackowski, zasługujesz na pochwałę, że tak świetnie poradziłeś w trudnej sytuacji. Kolega także na pewno będzie ci bardzo wdzięczny, że mu także pomogłeś. Jesteś dobrym i wzorowym żołnierzem na froncie.

- Panie poruczniku, to było moim obowiązkiem tak postąpić. Musiałem dla swojego kolegi udzielić się z pomocą. Kolega z pewnością postąpił by tak samo, gdyby kula trafiła we mnie.

Kolegę zaraz zabrano do szpitala na Pradze. Od tego czasu go nie widziałem, gdyż do naszej kompanii już nie wrócił. Po tych wydarzeniach dowódca kompanii wręczył mi na trzy dni przepustkę. Z przepustki prawie nic nie skorzystałem, bo gdzie i po co miałem iść. Chciałem odwiedzić panie poznane z wieczoru wigilijnego. Byłem już nawet przy tym domu, ale sam jeden nie odważyłem się zapukać do ich drzwi. Obawiałem się, że spotkanie dwie na jednego może nie udać się poprawnie.

Po wydarzeniach na Wiśle wiele myślałem, komu te łodzie były potrzebne, jeżeli Wisła była zamrznięta? Dlaczego i po co wysłano nas na śmierć, skoro z tego nie było żadnej korzyści? Doszedłem do wniosku, że to był nieudany pomysł dowódcy. Chyba myślał, że za wałem Wisły będziemy warować do wiosny?

1 stycznia 1945 rok nikt z żołnierzy nie dostrzegł, że dzień Nowego Roku nie był wyjątkowym dniem. Trwały tylko monotonne zajęcia obserwacji Wisły. Niemcy też siedzieli spokojnie, tylko od czasu do czasu słychać było pojedyncze strzały. 2 stycznia z Pragi odmaszerowaliśmy do dzielnicy Anin. Był tu prawdziwy odpoczynek przez dwa tygodnie. W tej leśnej dzielnicy była cisza i normalny ruch mieszkańców, którzy mieszkali w prywatnych wiliach. Tu jakby wojny nie było. Nie widać było żadnych zniszczeń, żadnych ruin. Wszędzie ład i porządek. Podczas silnych mrozów wszystkie zgrupowane jednostki wojskowe nad Wisłą oczekiwały na moment, aż rzeka będzie skuta odpowiednią grubością lodu, by po nim ruszyć w bój na wyzwolenie lewobrzeżnej Warszawy.

16 stycznia 1945 rok trwała koncentracja wojsk nad Wisłą w górę rzeki do wysokości miasta Góra Kalwaria. Nasz 9-ty pułk piechoty z pełnym uzbrojeniem stoi nad rzeką z zamiarem przejścia po lodzie na drugi brzeg. Mróz nocą sięgał do – 20 stopni. Wieje ostry, lodowaty wiatr od wschodu. Żołnierze cały czas poruszają się, tupają, by nie skostnieć od zimna. W takich okolicznościach trwaliśmy przez całą noc i nic się nie działo. Nikt nie wie dlaczego stoimy i marzniemy? Każdy z nas chciałby jak najprędzej być w ruchu. Kiedy zaczynało świtać, zauważyliśmy, że na Wiśle badają grubość lodu, więc chyba niebawem ruszymy. W kilku miejscach wiercono lód i badano jego wytrzymałość. Stwierdzono, że lód jest dostatecznie gruby i wytrzymały na ciężary. Po tych badaniach najpierw skierowano pojedynczo samochody ciężarowe, które przejechały bez problemów. Następnie ruszyły pojedynczo czołgi i także lód wytrzymał. Na koniec ruszyła piechota bez żadnych obaw. Cała przeprawa po lodzie poszła sprawnie. Byliśmy zadowoleni, że w marszu rozgrzejemy się. Jak na tak mroźną zimę byliśmy za lekko ubrani, ale w marszu było ciepło.

17 stycznia 1945 rok po przeprawie nasz pułk skierował się w kierunku miasta Góra Kalwaria. Drogę zasypaną śniegiem przecierały czołgi, za nimi jednostka zmechanizowana, następnie podążał tabor konny, a na końcu ta szara piechota. Na tym odcinku frontu nie napotkaliśmy na żaden opór wroga. Dalej w dół rzeki maszerowaliśmy do Warszawy przez Piaseczno. Tu mieliśmy odpoczynek przez jeden dzień w domach prywatnych. Dowiedzieliśmy się, że Niemcy opuścili Warszawę przed spodziewaną ofensywą. Byli zorientowani, że jeżeli nie opuszczą to poniosą ogromne straty. Wiedzieli, że ogromne siły Armii Polskiej i Armii Czerwonej oczekują na odpowiednią grubość lodu, by po nim sforsować Wisłę. Niemcy osłabione powstaniem dokładnie wiedzieli, że takiej ofensywy nie powstrzymają

19 stycznia 1945 rok byliśmy w centralnej Warszawie. Na jej widok byliśmy przerażeni, same gruzy, jak okiem sięgnąć rumowiska, domy, które jeszcze stały były bez ścian. Mieszkańcy stolicy jak mrówki penetrowali gruzy, z pewnością szukali swoich najbliższych zabitych, a także pożywienia, lub cieplej odzieży. Wielu z nich szykowało w gruzach cieplejszą norę, by przetrwać srogą zimę. Na ulicach zagraconych różnym sprzętem i zawalonych gruzem mieszkańcy bez mieszkań ogrzewali się przy ogniskach i gotowali jakąś strawę. Wielu z nich było rannych z opatrunkami na głowach, rękach, nogach poruszających się o kulach. Wszystko wyglądało jak po kataklizmie. Niektórzy już mieli swoje, zorganizowane lokum i tym już było nieco łatwiej. Patrząc na ogromne zniszczenia można było wyobrazić jak warszawiacy przeżywali powstanie i okupację przez 5 lat. My z wielkim wzruszeniem oglądaliśmy wojenne widmo swojej stolicy. W zadumie przepuszczaliśmy, że tego miasta już nikt nigdy nie odbuduje. Tylko niektóre dzielnice na obrzeżach miasta były nie wiele zniszczone. Tam były większe skupiska mieszkańców. Tam poszkodowani podążali ratować swoje życie. Tam organizowano dla rannych i chorych punkty medyczne. Służby medyczne dźwigały rannych na noszach otulonych ciepłą odzieżą, bądź pościelą. Od tego Warszawa zaczynała życie po opuszczeniu barbarzyńców.

POGOŃ ZA WROGIEM

20 stycznia 1945 roku po śniadaniu opuszczaliśmy Warszawę maszerując szosą w kierunku Błoni i Sochaczewa. Wróg wciąż się cofał, ale jego samoloty sprawiały nam wiele grozy podczas marszu szosą. Czasami maszerowaliśmy spokojnie jak gdyby nic się nie działo. Niespodzianie nadlatywały samoloty bombardując i ostrzeliwując z karabinów maszynowych naszą kolumnę. Powstawał ogromny popłoch i zamieszanie. Nasza artyleria przeciwlotnicza kierowała ogień do samolotów. Jeden z samolotów został trafiony. Spadając na ziemię wybuchł razem z pilotem. Ostrzeliwanie z samolotów było bardzo groźne. Grad kul sypał się na nas a schować się nie było gdzie. Po obu stronach szosy były gołe pola, jedynie w rowy przydrożne były minimalnym schronieniem. Naloty trwały krótko, w obawie przed artylerią przeciwlotniczą szybko znikwały. Po tym, pierwszym nalocie doznaliśmy sporo strat. Było wielu zabitych a jeszcze więcej rannych żołnierzy. Zniszczono zostało także kilka samochodów. Podczas takiego nalotu każdy żołnierz jest nie pewny że go przeżyje. A kiedy przeżył to musi trwać w niewiedzy przeznaczania swojego losu z narażeniem swojego życia do końca wojny. Ten dzień był dla nas pierwszym, w którym doznaliśmy okrucieństwa wojny. Każdy żołnierz wiedział, że do końca wojny jest daleko i wiele dni będzie jeszcze okrutniejszych. Po nalocie zostały 2 samochody, jeden z ekipą pogrzebową a drugi z rannymi powrócił do Warszawy. Po uporządkowaniu kolumny nasz pułk wyruszył w dalszą drogę. Pod wieczór dotarliśmy do pięknego, zaśnieżonego, leśnego krajobrazu. Zarządzono nocny odpoczynek w świerkowym lesie. Po dziennych wrazeniach i kolacji każdy chciał odpocząć i pospać, ale tu nie było jako takich warunków. Mróz zelał a śnieg dużymi płatami sypał się z nieba. Ognisk nie wolno było rozpalać z uwagi na niespodziewany nocny nalot. Każdy żołnierz miał przy plecaku koc i pałatkę i to musiało wystarczyć, by podczas snu ochronić ciało przed zimnem. Każdy sobie pod drzewami odkopał śnieg do samej ziemi i każdy wyruszył w las po gałęzie świerkowe. Każdy sobie nałamał ile mógł udźwignąć. Tymi gałęziami grubo wyścielaliśmy legowiska. Po ułożeniu się do snu, by nie odmrozić nóg nakryli je jeszcze gałęziami i grubo na nie saperkami narzucali śniegu. Przez koc i szczelną pałatkę nie ulatniało się ciepło ciała. Człowiek strudzony i zmęczony szybko usnął nie odczuwając żadnego zimna i spał aż do rana. Rano wstaliśmy wypoczęci i zdrowi. Wymyśliśmy się śniegiem i ruszyliśmy do polowych kuchni po śniadanie. W domu było nie do pomyślenia przetrwać zimową noc w śniegu, a w czasie wojny dla żołnierzy było całkiem realne.

Z frontu pisałem listy do domu, informowałem rodziców o swoich trudach przeżywanych w czasie wojny. Chciałem, by o mnie wszystko wiedziała Rodzina, a co najważniejsze, że jeszcze żyję i podążam do boju o wolność dla Niej. Jak i gdzie zakończę swój marsz wiedział tylko jedynie

Bóg. Z wielką radością otrzymywałem listy z domu. Każdy żołnierz z tego się cieszył, a kontakt z Rodziną podtrzymywał wszystkich na duchu. Poczta polowa bardzo dbała, by swoich żołnierzy nie zawieść w ich poświęceniu za Ojczyznę.

21 stycznia 1945 roku jesteśmy znowu na trasie w kierunku Włocławka odległego około 140km. Głęboki śnieg chociaż przetarty pojazdami jednak bardzo utrudnia marsz. Wszyscy męczymy się, ale iść trzeba choćby resztkami sił. Po sześciu dniach byliśmy we Włocławku. Tak jak poprzednio noce spędzaliśmy w lasach. W miejscowościach odpoczynek nie był wskazany ze względu na możliwość bombardowania. Były przypadki odmrożenia stóp, więc dowództwo zezwalało na rozpalanie ognisk, co było znacznie cieplej i weselej. Chłopaki pilnowali ognisk, by nie wygasły.

We Włocławku zatrzymaliśmy się na dłużej, by zregenerować siły i podleczyć nogi. W prywatnych domach odpoczywaliśmy jak należy szykując się w podróż do następnego etapu.

27 stycznia 1945 roku będąc we Włocławku otrzymałem list, którego nigdy nie spodziewałem się. Był to list od mojego starszego braciszka Arseniusza z Rosji, z dalekiego Uralu. Była to wielka nowina i radość, którą w tamtej chwili z wrażeniem przeżywałem. Ślad po Nim zaginął w 1940 roku Kiedy go sowietci zabrali do Armii Czerwonej. Cała nasza Rodzina straciła wszelką nadzieję, że kiedykolwiek Go zobaczymy. Wszyscy liczyliśmy, że nie żyje i zginął w Rosji na froncie. Mama przez 5 lat opłakiwała nieznaną śmierć swego syna. Po przeczytaniu Jego listu wielka uciecha podniosła mnie na duchu mając nadzieję, że jeszcze kiedyś rozsiani po świecie w rodzinnym komplecie będziemy cieszyć się życiem.

2 lutego 1945 roku we Włocławku nasza kompania odłączyła się od pułku, by wyruszyć w pogoni za wrogiem trasą bardziej na zachód, a reszta pułku wyruszyła bardziej trasą na północny zachód. Dla naszej kompanii fizylierów przydzielono dwa samochody ciężarowe i cztery furmanki. Z Włocławka wyruszyliśmy do Bydgoszczy. Zima w pełni, wiatr natychmiast zawiewał drogę śniegiem, którą z trudem pokonywaliśmy. Samochody ciężarowe z zaopatrzeniem, z obsługą cekaemu i obsługą kuchni polowej przecierali nam nieco drogę. W odpowiednich miejscach czekali na nas z posiłkiem. Po pierwszym dniu marszu znowu jesteśmy maksymalnie wyczerpani fizycznie i psychicznie. Każdy się cieszył, że upłynął dzień i będzie nocny odpoczynek. Tak samo nocowaliśmy w lasach i spaliliśmy na gałęziach. Było tylko tyle lżej, że mróz zelżał, a odpoczywaliśmy zawsze przy ogniskach co nam sprawiało znaczną ulgę. Ognisk już nie obawialiśmy się rozpałać, gdyż Niemcy wycofali się daleko. Do Bydgoszczy zawsze utrudnieni szliśmy przez 5 dni.

7 lutego 1945 roku zbliżamy się do przedmieścia Bydgoszczy. Czepiamy się naszych furmanek, a żeby było lżej ciągnąć nogi, a do tego po skończonym prowiancie doskwierał głód. Gdy tylko zobaczyliśmy pierwsze domy bez zastanowienia z kolegą udaliśmy się do pierwszego, lepszego domu, a żeby coś zjeść i chwilę odpocząć. Zapukałem do drzwi, niebawem otworzyła je kobieta w średnim wieku.

- A to wojsko polskie! - krzyknęła jakby z radości.

- Proszę, proszę wchodzić! – zapraszała.

- Chyba nie trudno zgadnąć, że jesteście głodni?

- Tak, tak proszę pani, jesteśmy nawet bardzo głodni, no i także zmęczeni -odpowiedziałem. W płycie kuchennej paliło się, więc niedługo czekaliśmy na posiłek. Po chwili na dwóch talerzach pojawił się wysmażony boczek z jajkami, chleb i herbata. To był domowy rarytas, którego już dawno nie jedliśmy. Dobrze posileni i wypoczęci podczas rozmowy z życzliwą panią podziękowaliśmy jej pięknie za gościnę i wyszliśmy na ulicę. Wkrótce dołączyliśmy do swojej kompanii w koszarach. Nasz dowódca nawet nie zapytał nas gdzie żeśmy przebywali. Wiedział dokładnie, że nas głód zmusił odłączyć się od jednostki. Dodatkowo skorzystaliśmy jeszcze z kolacji wojskowej w koszarach.

9 lutego 1945 roku w Bydgoszczy odpoczywaliśmy przez 2 dni. Uzupełniliśmy zapasy, nabraliśmy trochę sił aby zmierzyć się z następnym marszem. Wyruszyliśmy z rana w kierunku zachodnim ku dawnej granicy polsko – niemieckiej. Po kilku dniach dotarliśmy do miasteczka Złotów, które przed wojną należało do Niemiec. Nocowaliśmy w domach opuszczonych przez Niemców. Jedzenia było w brud. Piwniczne pułki były załadowane słoikami różnych przetworów, tylko był odczuwalny brak chleba. Wybierając się w dalszy marsz swoje plecaki załadowaliśmy słoikami, przez co ten ciężar był odczuwalny. W następnym miasteczku Jastrowie znowu odpoczynek. Tu także były zostawione zapasy żywności przez uciekinierów. Takich rarytasów w słoikach nie brakowało w każdym domu.

12 lutego 1945 roku dowiedzieliśmy się przed marszem, że będziemy podążać do Kołobrzegu nad morzem do którego trzeba na pieszo pokonać 160 km. Po kilku dniach marszu dowiedzieliśmy się, że po drodze trzeba będzie pokonać silnie umocniony „Wał pomorski”. Tam będziemy musieli zmierzyć się z ogromną siłą wroga. Zima nadal dawała się we znaki, a marsz był przyspieszony. Po drodze wojsk niemieckich nigdzie nie było widać ani słyszeć. Któregoś z kolei dnia pod wieczór dotarliśmy do dużej, niemieckiej farmy opuszczonej przez właścicieli z obawy przed naszymi wojskami. Obory były pełne krów, a w chlewniach świń, sporo z nich spacerowało po podwórzu. Dom piękny, piętrowy z pomieszczeniami na poddaszu stał przy parku w pobliżu jeziora. Obok była gorzelnia, a na zewnątrz kilka ogromnych zbiorników. Tu nasza kompania ulokowała się na nocny odpoczynek. Rozejrzeliśmy się po strychach, piwnicach, czy czasem gdzieś nie ukrywają się Niemcy. Nigdzie nie było żadnej, żywej duszy. Wszędzie i wszystkiego było pełno. Szafy zapakowane ubraniami i butami, ale dla żołnierza nic nie było przydatne. Kuchnia ogromna i bogato wyposażona, na jej zapleczu w różnych pojemnikach pełno żywności. Tylko z tego ucieszyliśmy się, że skorzystamy z tak obfitego jadała.

- Teraz mamy jeszcze ważniejszą sprawę – powiedział dowódca kompanii. Musimy sprawdzić gorzelnię i co przy niej na zewnątrz zawierają te cysterny?

Weszliśmy do gorzelni, by wszystko obejrzeć. Wewnątrz jej czuliśmy zapach gorzały. W kotłowni było jeszcze ciepło, to oznaczało, że jeszcze wczoraj gorzelnia była czynna. Wyszliśmy wszyscy na zewnątrz, by sprawdzić zawartość tych cystern. Porucznik z powagą powiedział:

Chłopaki, jeżeli w nich jest spirytus to nigdy nic nie wiadomo czy czasem nie może być zatruty. Podchodźcie do tego z ostrożnością.

Nie do wszystkich to ostrzeżenie dotarło, chociaż naprawdę każdy się obawiał, ale chęć spróbowania coraz bardziej narastała i ciągnęła do kurka cysterny. Ktoś z chłopaków krzyknął:

- Kto odważy się pierwszy spróbować?

Znalazło się kilku ochotników, jeden z nich powiedział:

- „Raz kozie śmierć”! Tak czy owak front nas nie ominie, więc po co dalej iść i męczyć się.

Chyba już dość namęczyliśmy się w tej tułaczce, więc czy nie lepiej napić się tego spirytusu i tu zginąć bez męki?

Bez namysłu odkręcił kurek cysterny i napuścił jej zawartości do menażki i porządnie sobie łyknął. Drugi i trzeci śmiałek zrobił to samo. Reszta całej kompanii stoi i czeka co z tego wyniknie? Czekaliśmy 10, 15 minut i nic innego nie działo się jak tylko ich humory poprawiły się i zataczając się zaczęli śpiewać. Kiedy pierwszy, najchudszy zaczął padać, całą trójkę „doświadczalnych królików” zaprowadziliśmy do domu i ułożyliśmy na wygodnych łózkach. Momentalnie zaczęli smacznie chrapać. Porucznik nasz był już przekonany, że spirytus jest normalny, więc każdemu kto chciał pozwolił nie za wiele wypić, tylko broń Boże nie upijać się. Nie wszyscy to usłyszeli i pili tyle ile kto chciał.

Nasze dowództwo i żołnierze, którzy byli jeszcze trzeźwi po pierwszym łyku postanowili wspólnie urządzić kolację, zakrapianą zdobyczym alkoholem. W największym pokoju obszernego domu ustawiali stoły i krzesła. Kto trochę znał się na rzeźnictwie poszli do chlewni i na rozkaz dowódcy ustrzelili 4 tuczniki. Zdarli z nich skóry i szybko poćwiartowali. W kuchni znaleźli potrzebne przyprawy i patelnię. Mianowany szef kuchni przez porucznika kierował zespołem przygotowującym dania. Ci co zdążyli nieco się wytrzeźwieć zaproszono także do uczty. Wszyscy żołnierze byli zafascynowani balem nad bale w wojskowym wydaniu, tylko w zasobnym domu za mało znaleźli chleba. Spirytusem zarządzał sam porucznik, by sami żołnierze nie przeholowali sobie dawki i na jutro rano byli gotowi do marszu. Niektórzy żołnierze pochodzili ze wsi, z tęsknoty za mlekiem poszli po niego do obory. Wiele krów było szczęśliwych, gdyż reszta od nabrzmiałych wymion mlekiem ryczała z bólu. Dowódca polecił, by nadoili 4 konwie mleka. Z braku chleba wielu żołnierzy smażoną szynkę i smażoną wątróbkę zapijali mlekiem. Żaden z żołnierzy nigdy nie przywydywał takiego balu przed wyruszeniem na front, na którym czeka nas groźny, nieunikniony bój. Śpiewaliśmy, dokazywaliśmy, tak jakby nie było wojny. Na tym niezwykłym balu najbardziej brakowało nam dziewczyn, na których, kiedy przeżyjemy trzeba będzie jeszcze długo czekać. Nikt się nie przejmował, że nazajutrz rano czeka nas marsz po wojenny los. Choć noc zimowa była długa, minęła bardzo szybko. Rano na sygnał pobudki wielu z nas zabrakło na zbiórce. Po takim balu każdy z nas chciał jeszcze pospać. Dowódca kazał nam jeszcze nie wytrzeźwiałych polewać zimną wodą. Ten zabieg bardzo pomógł i w krótkim czasie cała kompania stanęła w szeregu. Znalazło się dwóch, którzy byli jeszcze zamroczeni alkoholem i wcale nie potrafili chodzić. Musieliśmy ich wrzucić na furmanki, na których jeszcze trzeźwieli przez kilka godzin. Kiedy doszli do siebie to z nas się śmiali, że oni wygrali i nie musieli maszerować.

Na następne dni zaopatrzenie było zapewnione. Opuszczając farmę załadowaliśmy kilka worków z obrokiem dla koni, znaleziona beczka z paliwem też nam się przydała. Załadowaliśmy na furmanki pozostałe mięso i dwie konwie mleka i najważniejsze 3 konwie zdobycznego spirytusu, które były pod kontrolą porucznika. W mroźne dni na postojach dawał do kolacji każdemu po pół szklanki. Z noclegami już na tych terenach nie było problemów. Było mnóstwo opuszczonych domów, z których zawsze korzystaliśmy. Od dłuższego czasu noclegi w lesie nam nie groziły. Każdy wiedział, że bezustanne marsze z pewnością wkrótce się skończą i trzeba będzie zmierzyć się w walce z wrogiem.

ETAP VI --- BITWA O WAŁ POMORSKI

14 lutego 1945 roku dotarliśmy w rejon frontowy. Uciążliwe marsze zakończyły się, tylko nie wiadomo na jak długo. Miejscowość Rederitz, dzisiejsza nazwa wioski Nadarzyce w byłym województwie koszalińskim położona między lasami nad niewielką rzeką Pilama. Tu były bardzo silne niemieckie fortyfikacje wprost nie do zdobycia. To już był ten „Wał Pomorski”. Tu nasza kompania połączyła się ze swoim, 9-tym pułkiem piechoty. Tu zatrzymaliśmy się na dłużej, aż do czasu zdobycia tego umocnienia. Przed nami były ciężkie dni walki z potężnym wrogiem uzbrojonym w najnowszą broń tamtych czasów. Jednak wróg boleśnie okaleczony przez 5 lat wojny nie był pewny, że powstrzyma nacierające wojska także z nowoczesnym uzbrojeniem. Linia fortyfikacyjna znajdowała się za wsią i za rzeką na skraju lasu. Ogromne bunkry były wyposażone w odpowiednie urządzenia i nowoczesną broń. Dowództwo koncentrowało swoje siły i rozważało jak pokonać opancerzonego wroga. Od skraju lasu było przed nami czyste i duże pole, które sprzyjało dla wroga do obstrzału. Na drodze wiodącej do wsi był most na rzece chroniony zaporą przeciwpancerną. Za rzeką koło mostu była drewniana wieża obserwacyjna, z której to Niemcy w dzień i w nocy obserwowali pobliski, szeroki teren. Zapora przeciwpancerna przed mostem była sterowana elektrycznie z pancerwerku /fabryka pancerna/. Nasz pułk okopał się w zagajniku około 700m. Od rzeki. Obserwatorzy z tej wieży namierzali nasze stanowiska i posypali się na nas pociski z dział i moździerzy. Pociski zaczęły wybuchać wokół nas a my ze względu na krótki czas byliśmy jeszcze bardzo słabo okopani. Nie zdążyliśmy jeszcze ani razu wystrzelić, a już mieliśmy wielu zabitych i rannych. Pod wieczór na linii frontu złożył wizytę sam dowódca pułku pułkownik Berezowski, by sprawdzić stanowiska naszej linii obronnej.. Nie zdążył do końca sprawdzić kiedy znowu nastąpił obstrzał naszych pozycji. W pobliżu pułkownika także eksplodował pocisk artyleryjski raniąc odłamkiem w brzuch, przez co dowódca poniósł śmierć na miejscu. Była to dla pułku ogromna strata, kiedy żeśmy jeszcze ani jednego razu nie wystrzelili. O tej stracie szybko się dowiedzieli wszyscy żołnierze pułku. Gdy już się ściemniało atak artyleryjski ustał. Tejże nocy otrzymaliśmy z kolegą rozkaz dowódcy kompanii, by zbadać rzekę czy ona jest zamrznięta i gdzie by ją było można sforsować po lodzie lub w bród. Dowództwo planowało, by w nocy po sforsowaniu rzeki zaatakować pozycje wroga. Rzeką płynęła równą doliną po obu stronach zarośnięta trzcinami. W mroźną, księżycową noc w białym zamaskowanym ubraniu wyruszyliśmy z kolegą na bardzo niebezpieczne zwiady. Wiedzieliśmy, że jeżeli nas dostrzegą Niemcy to już na tym śnieżnym polu zostaniemy martwi. Przecież oni z bunkrów przez cały czas obserwują przedpole za rzeką. Najgorszym było, że w mroźną noc śnieg skrzypiał pod butami. Staraliśmy się jak koty stawiać powoli nogi skradając się do rzeki. Kiedy już byliśmy blisko niej to zaczęliśmy się czołgać, by jak najszybciej skryć się w trzcinach. Stwierdziliśmy, że brzegi w trzcinie rzeki były zamrznięte A za trzciną widać było że woda płynie, to oznaczało, że dalej jest głębina, na której trzcina nie rośnie. Na drugim brzegu rzeki trzcina była słabo widoczna, to oznaczało, że poprzeczna głębina rzeki jest co najmniej 40m. długości. Sforsowanie jej w bud nie było możliwe. Kiedy już ustaliliśmy jaki meldunek złożymy dowódcy, baliśmy się ruszyć w drogę powrotną w tak jasną noc. 200m. od nas była wieża obserwacyjna a tuż za rzeką bunkry z lunetami o 60 krotnym zbliżeniu. Bardzo nas ogarnął strach. Postanowiliśmy więc czekać aż księżyc zajdzie, albo zakryje go jakaś chmurka. Było nam bardzo zimno. Na leżąc ćwiczyliśmy ruchy ciała. Na nasz ratunek nadeszła chmurka i zakryła cały księżyc. Szybko czołgając się zaczęliśmy się wycofywać, by pod butami nie skrzypiał śnieg. Czołgając się rozgrzaliśmy się. Po około 100m. Wstaliśmy i zaczęli biegać. Skrzypiący śnieg przerażał nas. Wnet odezwał się karabin maszynowy, więc padliśmy. Kiedy serie ustały znowu czołgaliśmy się. Z pewnością Niemcy nas nie dostrzegli i strzelali na oślep w kierunku, którym skrzypiał śnieg. Kiedy oddaliliśmy się około 300m od rzeki wstaliśmy i szliśmy powoli do swoich pozycji. Kiedy już byliśmy w okopachiliśmy swój meldunek zwiadowczy dla dowódcy. Porucznik nam podziękował i cieszył się, że z tak niebezpiecznej akcji wróciliśmy cali i zdrowi. Dowództwo zastanawiało się, dlaczego ta,

mała rzeka nie była zamarznięta, skoro na dużej rzece Wiśle lód utrzymał ciężar czołgów. Doszli do wniosku, że to były zastosowane jakieś chemiczne środki, by woda nie zamarzała. Ponadto rurami kanalizacji odpływała ciepła woda ze wszystkich pancerwerków do rzeki.

15 luty 1945 rok ledwo świt usłyszeliśmy warkot czołgów. Kilka z nich wysunęło się z zagajnika i wjechało na szosę, która prowadziła na most do wioski. Na szosie zatrzymali się. Jeden z nich skierował działą na wieżę obserwacyjną. Strzelił tylko raz, a gniazdo obserwacyjne rozprysło się na kawałki. Z naszych tyłów odezwała się ciężka artyleria i bez przerwy jej pociski rozrywały się na umocnieniu. Po bezustannej kanonadzie czołgi ruszyły do mostu. Kilka ich strzałów armatnich zniszczyło zapórę przeciwpancerną. Niby już droga wolna, więc czołgi ruszyły do przodu. Między czołgami i po ich bokach biegła piechota. Kiedy pierwsze czołgi z piechotą przekroczyli most, posypał się grad pocisków artyleryjskich od strony Niemców i czołgi zostały unieruchomione. Wkoło padali żołnierze zabici i ranni. Następne czołgi ponawiały próbę przedarcia się, lecz znowu atak nie powiódł się. Znowu padali zabici ranni, a czołgi płonęły. Kto pozostał przy życiu natychmiast wycofywali się i ratowali się ucieczką. Ja także uciekałem na most razem z przeżyłą grupą piechoty. Był to bardzo duży cios dla naszego pułku, który poniósł duże straty w ludziach i sprzęcie. Tak tragicznie minął pierwszy dzień walki. Kto został żywy z tej walki będzie pamiętał przez całe życie zacieklą, tragiczną walkę we wsi Rederitz.

Nadeszła ciemna, zimna noc, wszyscy siedzieliśmy w swoich kryjówkach nie zmruszając oka. Każdy myślał tylko o tym co dzisiaj się wydarzyło. Każdy myślał o jutrzejszym dniu, że z pewnością tu wszyscy zginiemy.

16 luty 1945 rok od wczesnego ranka nastąpił drugi dzień walki. Znowu podjęto próbę natarcia i przerwanie linii frontowej nieprzyjaciela. Artyleria nasza porządnie sypnęła pociskami, a następnie czołgi znowu ruszyły do ataku. Niespodziewanie poszło znacznie lepiej i bez strat. Niemcy znacznie mniej ostrzeliwali z dział i nie wyrządzały większych szkód. Nasze wojsko z całą siłą ruszyło do przodu. Przede wszystkim przystąpiono do uprzątnięcia zabitych i ciężko rannych z dnia poprzedniego. Wielu żołnierzy ciężko rannych zmarło ze względu niemożności udzielenia pierwszej pomocy. Na uprzątnięcia żołnierzy z pola bitwy trwał cały dzień.

17 luty 1945 rok fortyfikacja na skraju lasu za wsią czyli druga linia obronna nie wiele ucierpiała od obstrzałów naszej artylerii. Podejrzliwie wyglądało, dlaczego Niemcy siedzą w niej nadzwyczaj spokojnie? Wielu z nas myślało, że oczekują na nasze, masowe natarcie. I te myśli okazały się trafne.

Nowy dowódca pułku nie był całkowicie zorientowany o sile wroga i liczył też że z pewnością znaczna ich ilość zginęła w czasie naszej ofensywy. Dał więc rozkaz dla dowódcy pierwszego batalionu w sile około 300 żołnierzy, by przystąpiono do natarcia na bunkry nieprzyjaciela. Przed bunkrami było równe i czyste pole bardzo dogodne do odparcia ataku. Żołnierze więc ruszyli biegiem na otwartym polu co sił z okrzykami: Hurra! Hurra! Niemcy nie co odczekali i podpuścili na odległość około 80 metry i w tym momencie zagrały karabiny maszynowe ciężkiego kalibru ze wszystkich pancerwerków. Żołnierze zabici i ranni padali pokotem. Dowódca widząc ogromną tragedię, wydał rozkaz do odwrotu. Piechota natychmiast wycofała się z dużymi stratami. Było ponad 40 zabitych i mnóstwo rannych. Podczas wycofywania się na polu natarcia trwała nadal straszna tragedia. Niemcy ze wściekłością nie żalowali na nas amunicji. Tu było wielkie szczęście kto został przy życiu. Gdyby nie wycofano w porę natarcia, cały batalion przestałby istnieć. Nie sprzątano zabitych ani też rannych, którzy z jękiem błagali o pomoc. Każdy uciekał z pola zagłady ile miał sił. Zabitych ani rannych Niemcy nie pozwolili zabierać. Kto ze śmiałków zbliżał się na pole pobojowiska z ratunkiem, to został od razu zabity. To była wielka porażka dla naszego pułku. Niemcy cieszyli się z pogromu naszego wojska i z optymizmem marzyli o zwycięstwie.

18 lutego 1945 roku zapowiadał się czwarty dzień walki. Każdy czekał jak w kolejce po swoją śmierć.... . Kiedy zaczęło świtać, nikt nie myślał już o życiu lecz tylko o śmierci. Nagle zauważyliśmy, że coś szczególnego się dzieje. Żołnierze z radością i ze łzami w oczach wiwatują nadjeżdżającym „Katiuszom”. Każdy wiedział, że ta broń jest zbawieniem dla żołnierza. Każdy wiedział, że ona wykończy „Szwabów”, którzy tak dotkliwie zadali nam rany. „Katiusze” ustawiły się w tym zagajniku, gdzie my mieliśmy swoje okopy. Po chwili przygotowania, sypnęły seryjnym ogniem. Otaczająca, poranna cisza zamieniła się w mknące wycie i świst pocisków o potężnej sile. Nie trwało to długo, może 15 minut i z pewnością

myśleliśmy, że wystarczyło rewanzu dla okrutnego wroga. Piechota znowu ruszyła do natarcia na umocnienia. Tym razem nie przywitały nas ani karabiny maszynowe ani działa. Wkoło wszystko dymiło po potężnym ogniu „Katiuszy”. Niemcy ogromnym kosztem przez wiele lat budowali tę twierdzę z myślą, że żadna siła jej nie pokona. Wystarczyło jednak piętnastominutowe użycie groźnej broni, by cała potęga zamieniła się w ruinę i kupę gruzów. Kopuły pancerne bunkrów powywracane, działa na kawałki porozrywane. Las otaczający umocnienia cały dymił i wyglądał jakby przez niego przeszedł ognisty, niszczycielski cyklon. Na szalejącym polu tej broni wiele pozostało fragmentów ciał niemieckich żołnierzy, co dodawało koszmarnego widoku pobojuwiska.

Niemcy cofający się spod Stalingradu ogromnie bali się „Katiuszy”. Jak tylko dowiedzieli się, że w pobliżu znajduje się ta broń, szybko uciekali i wszystko po sobie zostawiali by tylko ująć z życiem. Tym razem bodajże tej broni nie zdolali wykryć.

Już bez obaw o wroga, niezwłocznie przystąpiliśmy do uprzątnięcia pola bitwy z zabitych i rannych żołnierzy poległych dnia poprzedniego. Jeszcze uratowano kilkunastu, którzy zdolali przetrzymać noc bez udzielenia pierwszej pomocy. Koło tej wsi Rederitz /Nadarzyce/ powstał ogromny cmentarz polskich żołnierzy, z których być może wielu niepotrzebnie poległo, przez brak właściwej taktyki wojennej i niewłaściwe rozkazy dowódców....

NIEDOBITKI

19 lutego 1945 roku nasi zwiadowcy wykryli, że w pobliskich lasach kryją się grupy niemieckich niedobitków, którzy zdolali ująć z życiem z zagrożonej twierdzy. Do ich zlikwidowania wytypowano naszą kompanię. Zaraz po śniadaniu na zbiórce nasz porucznik Święcicki równy chłop swoich podopiecznych zapoznał nas z ustalonym planem naszej penetracji lasu. Gdy już byliśmy głębiej w lesie kazał nam utworzyć tyralierę. Szliśmy blisko jeden drugiego, by się nie pogubić i mieć łączność między sobą w gęstwinie. Żaden Niemiec miał się nie przedostać przez naszą blokadę. Daleko nie uszliśmy i zauważyliśmy na świeżym śniegu dużo żołnierskich śladów. To nas zmusiło do większej czujności, że możemy się spotkać z dużą grupą uzbrojonych Niemców. W takich okolicznościach po dokonaniu dla nas bolesnych strat mogą walczyć, do końca, by nie trafić do ciężkiej niewoli lub na rozstrzelanie. Szliśmy ostrożnie z palcem na spuście broni. Dużo śladów prowadziło do następnego zagajnika. Szliśmy sporo czasu a zagajnika nie ma końca. Idąc pochyleni w zagajniku zauważyliśmy sporą grupę Niemców odpoczywających w gęstwinie. Nie spodziewając się nas palili papierosy. Dostrzegli nas kiedy już byliśmy blisko nich. Szybko poderwali się do ucieczki zostawiając swoją broń. Tuż przednimi był już duży las. Wiedzieli dobrze, że znaleźli się w pułapce pomimo to w rozsypce uciekali. Byliśmy pewni, że żaden z nich nam nie umknie. Na okrzyki – halt! – wcale nie reagowali. Nacisnęliśmy więc na spusty pistoletów maszynowych. Kilku z nich upadło, a reszta zatrzymała się unosząc ręce do góry. Wszystkim Niemcom, nawet zabitym opróżniliśmy kieszenie. Dowódca wyznaczył dwóch konwojentów, którzy lekko rannych i zdrowych uciekinierów odprowadzili do sztabu pułku. Ciężko ranni zostali rozstrzelani. Zdobyte, cenne rzeczy a było ich sporo, zostały rozdzielone między żołnierzy. Cieszyliśmy się, że łatwo nam poszło zlikwidować liczną gromadę zbrodniarzy naszych chłopaków. Cała kompania w lesie rozsiadła się w krąg na śniegu na poczęstunek zdobytej czekolady, której już tak bardzo dawno nie próbowaliśmy. Na dodatek każdemu z nas starczyło po 10 szt. wybornych papierosów. Za chwilę w lesie nad naszymi głowami pojawiła się chmura dymu. Prawie każdy z nas zaciągał się nim z lubością po tak ciężkich, minionych bojach. Każdy z nas w tym przyjemnym nastroju mógł tylko pomarzyć o konwi zdobycznego spirytusu. Musieliśmy więc zakończyć odpoczynek z poczęstunkiem i wyruszyć dalej w las na spotkanie z następną przygodą. Mieliśmy jeszcze sporo czasu, by spenetrować zaplanowany teren. Po krótkim marszu przez las znowu uformowaliśmy tyralierę. Przed nami pojawiła się duża polana, a na niej duży dom z dwoma mniejszymi budynkami. Za domem była duża równina, którą het dalej znowu otaczał las. Tyraliera nasza skupiła się, by omówić plan dalszego działania. Zgadywaliśmy, że to z pewnością jest leśniczówka i jak ją zniecka zaatakować i zdobyć. Dowódca był pewny, że w tym domu ukryli się Niemcy. Przez dłuższy czas obserwował za pomocą lornetki cel ataku i wreszcie powiedział:

- Chyba widzicie jak wali dym z komina? Przecież cywile z tak bardzo zagrożonych terenów wojną dawno puciekali. Ja tu was wszystkich porozstawiam i wskażę co macie robić, więc słuchajcie.: Tu od strony lasu jest dla Niemców najbliższa droga do ucieczki, więc zostawiam was dwudziestu Ukryjcie się

za drzewami z bronią gotową do strzału. W razie ucieczki pierwszych zastrzelić i krzyknąć do reszty by się poddali. W razie dalszej ucieczki wszystkich zastrzelić. Druga dwudziestka pójdzie na drugą stronę polany i zachować się tak samo jak pierwsza dziesiątka. Reszta pójdzie ze mną pod ten dom. Czuwających nie widać przy domu, więc myślę, że spożywają posiłek i nam się uda załatwić ich znienacka na miejscu. Oni mogą myśleć także, że ich wojna jest już przegrana i będą czekać na jakąś okazję, by się poddać do niewoli. Ale my mamy okazję, by ich już załatwić. Druga dwudziestka proszę wyruszyć na przeciwny koniec polany. Za 15 minut zaczynamy akcję.

Ja ze sporą grupą żołnierzy i z dowódcą na czele po cichutku skradaliśmy się pod dom, gdyż od strony lasu akurat nie było okien. Gdy już byliśmy pod domem, dowódca podzielił nas na dwie grupy i powiedział szeptem:

- Ja pójdę z tą grupą na jedną stronę domu, a plutonowy pójdzie z drugą grupą na drugą stronę domu. Pod pierwszymi oknami przejść chyłkiem. Kiedy już będziecie gotowi pod oknami, jednocześnie walnąć kolbami w okienne ramy z całej siły, by się rozsypały i wszystkie lufy pistoletów maszynowych przez okno skierować w stronę wroga.

Jednocześnie więc z obu stron domu zagrzmiały ramy okien z potłuczonym szkłem. Niemcy z przerażenia nie mieli szans chwycić za broń. Każdy z nich widział wiele luf skierowanych do nich i każdy wiedział, że jeżeli sięgnie po broń to nie zdąży z niej wystrzelić. Każdy ze strachu nie potrafił podnieść się od stołu podczas spożywania posiłku. Nie zdążyliśmy krzyknąć: - handy hoch - wszyscy na siedząco, wielcy wojownicy unieśli ręce do góry. Część żołnierzy weszło z dowódcą do pokoju, by ich zrewidować i pozabierać broń. Dowódca krzyknął:

-Alles aufstehen!/wszyscy wstać/.

Podczas rewizji osobistej zabrano pistolety przy pasach i z kieszeni. Po rewizji dowódca znowu krzyknął:

- Alles raus!

Wszyscy po kolei wychodzili, a było ich razem osiemnastu: jeden oficer, dwóch podoficerów i reszta szeregowi. To ci sami Niemcy, którzy poculi zapach „Katiuszy” i zdążyli zwać przed zagładą swojej twierdzy. Przed domem plutonowy wszystkich Niemców ustawił w szeregu. Jeden z żołnierzy przyniósł pokaźny pojemnik, do którego kazano jeńcom opróżnić kieszenie, pozdejnować z rąk zegarki i łańcuszki z szyj. Zbiegła się reszta żołnierzy, widząc zwycięstwo wszyscy krzyczeli:

- - Hurra! Hurra!. Niech żyje nasz dowódca! - krzyczeli z radości.

Plutonowy rozdzielił chłopakom wszystkie, zdobyte, cenne rzeczy, z których znowu wszyscy bardzo się cieszyli.

Po chwili przeżytych wrażeń, zabraliśmy wszystką zdobytą broń i amunicję i razem wszyscy prowadziliśmy jeńców do sztabu pułku. Ten dzień zaliczyliśmy za udany. Odnieśliśmy chociaż nie wielki sukces ale i to nas bardzo cieszyło. Czuliśmy się także zwycięzcami.

20 lutego 1945 roku po zakończonej, strasznej, zwycięskiej bitwie i po udanych przygodach pod Rederitz, o świcie nasza kompania udała się w dalszą, wojenną drogę. Już poprzednio dowiedzieliśmy się, że podążamy znowu na krwawy bój o Kołobrzeg, by pomóc Armii Czerwonej, która toczy ciężkie boje o to miasto i port. Na zdobytych niemieckich terenach grasowało wiele grup niedobitków wroga, którzy widząc przegraną uciekali z pól bitewnych. Oni byli zagrożeniem dla mniejszych jednostek Wojska Polskiego lub Armii Czerwonej, które poruszały się na tyłach swojego frontu. Trzeciego dnia w czasie marszu nasi zwiadowcy donieśli dowódcy, że w pobliskiej wsi znajduje się grupa niedobitków. Nikt nie wiedział ile w tej grupie znajduje się ludzi i z jakim uzbrojeniem. Obserwatorzy z pierwszego pojazdu z daleka dostrzegli jak grupa Niemców ze wsi uciekała do lasu. We wsi pluton naszej kompanii otrzymał rozkaz rozpoznania tej grupy jaką ona siłą dysponuje. W tym plutonie i ja się znalazłem. Chodziliśmy po polach, liczyliśmy świeże ślady w kierunku lasu. Naliczyliśmy, że w tej grupie znajduje się ponad 40 ludzi i ślady dwóch ciągniętych karabinów maszynowych na kółkach. Złożyliśmy więc raport rozeznania dla dowódcy. Po namyśle dowódca zrezygnował z likwidacji tej grupy. Do likwidacji takiej grupy z karabinami maszynowymi potrzebna by była cała nasza kompania, a niedobitki z zasadzki mogły by narazić kompanię na duże straty. Daliśmy więc spokój niedobitkom i ruszyliśmy w dalszą drogę.

POSIŁEK OD WROGA

21 lutego 1945 roku po nocnym odpoczynku znowu jesteśmy w drodze. Przez cały dzień marszu z

krótkimi odpoczynkami byliśmy całkiem wyczerpani z sił i w dodatku głodni po skończonym prowiancie. Ledwo ciągnąc nogi razem z kolegą Tomkiem tak jak w Bydgoszczy postanowiliśmy odłączyć się od kolumny. Głód i zmęczenie zmusił nas z narażeniem życia poprosić o posiłek i odpoczynek u wroga. Późnym popołudniem zaszliśmy do niemieckiego gospodarstwa i odważyliśmy się zapukać do drzwi jednego domu. Wkrótce nie młoda już gospodyni otworzyła nam. Była nie co strwożona, kiedy zobaczył polskich żołnierzy, ale zaprasza nas:

- Bitte, bitte.

W przedpokoju z uwagi poznanych tylko parę niemieckich słów wyjaśniliśmy gospodyni na migi, że chcemy jeść i odpocząć. Wszystko zrozumiała. Zaprowadziła nas do kuchni i wskazała krzesła. Szybko przystąpiła do przygotowania nam posiłku. Na stole w talerzach znalazły się smażone jajka, kurczak ze słoika, chleb i herbata. Byliśmy szczęśliwi i przystąpiliśmy do prawdziwej uczty. Gospodyni chociaż była Niemką, ale widać było, że nam nie żałowała. Po dobrym jedzeniu ogarnęła nas senność, więc powiedzieliśmy gospodyni, że chcemy schlafen. Gospodyni na chwilę wyszła, by tą wiadomość przekazać mężowi. Z obawy przed niebezpieczeństwem przygotowaliśmy broń gotową do strzału. Gospodyni za chwilę wróciła i sprzątała stół po naszym posiłku. Wkrótce zjawił się jej mąż, który przyniósł dwa snopki owsianej słomy. Zrozumieliśmy, że dba o nas, gdyż owsiana słoma jest miększa od żytniej. Słomę dokładnie rozścielił w kącie kuchni na kafelkowej posadzce i powiedział: :

- Bitte schlafen.

Podziękowaliśmy gospodarzowi i gospodyni; Gospodarze ponoć życzyli nam spokojnego snu i po cichu wyszli z kuchni. Nie spostrzegliśmy u nich żadnych, podejrzanych zachowań. Jak staliśmy położyliśmy się na słomę, a obok siebie położyliśmy załadowaną i zabezpieczoną broń. Po tak męczącym marszu i dobrym jedzeniu natychmiast usnęliśmy. Rano obudziliśmy się kiedy gospodyni szykowała nam poranny posiłek. . Przygotowała nam także wodę do umycia się i zaprosiła na śniadanie. Pojedliśmy znowu jak należy i poprosiliśmy coś na drogę. Gospodyni chętnie nam podała po słoiku kurczaka i po większej kromce chleba. Grzecznie jej podziękowaliśmy. Pistolety na plecy i ruszyliśmy na swoją trasę. Po chwili zatrzymaliśmy samochód wojskowy, który nas dowiózł aż do naszej, maszerującej kompanii, która gdzieś po noclegu zdążyła już wyruszyć w drogę. Dowódca widząc nas, że dołączyliśmy się nie udzielił nam nagany tylko podszedł do nas i przestrzegł, by takich kontaktów z Niemcami unikać, bo to przecież nasi wrogowie. . Zapewniliśmy dowódcę, że już takich nieprzemyślanych wyskoków nie będziemy praktykować.

BITWA O KOŁOBRZEG

6 marca 1945 rok tego dnia wieczorem dotarliśmy do Kołobrzegu. Rozlokowaliśmy się w domach na przedmieściu, które były opuszczone przez niemieckich mieszkańców. Dowódca przed snem zapowiedział nam:

- Proszę na zapas dobrze się wyspać, wyczyścić i sprawdzić broń. Dostaniecie też zapasowe naładowane magazynki do pistoletów, granaty, otrzymacie też suchy prowiant na kilka dni. Przez tych kilka a może nawet i kilkanaście dni, każdy będzie dbał i troszczył się sam o siebie, jeżeli chodzi o zaopatrzenie w żywność. Nie przewidujemy, że walki tu będą trwać długo, może pięć, może dziesięć dni. Dość już mamy marszów. Dotarliśmy do celu, którym jest Kołobrzeg. Mamy nadzieję, że zdobędziemy to miasto, albo może też być, że honorowo zginiemy w walce o niego. A więc, jutro do boju!

Nie źle nas nastraszył dowódca. Pogorszył nam się nastrój psychiczny i każdy z nas rozmyślał na swój sposób. Teraz już będzie gorzej z odpoczynkiem i ze spaniem. Była już późna godzina, więc poszliśmy spać, ale zasnąć nie było łatwo. Wszyscy byliśmy pogrążeni w groźnych myślach. Ale co ma być to będzie. Od tego jesteśmy żołnierzami, a walczyć musimy. W każdym bądź razie to już nie będzie zabawa, a ni przygoda na trasie, a będzie zacięta walka uliczna. Musimy jakoś uodpornić się psychicznie i fizycznie, na to co nas czeka, a czekają nas trudne dni.

7 marca 1945 nrok jeszcze całkiem ciemno, dzień pochmurny, pobudkę już zrobiono. Nikt nie miał chęci wstawać. Była godzina piąta. Wstajemy więc, po umyciu się jedliśmy śniadanie. Każdy myślał, że to już ostatnie śniadanie z kuchni polowej i to nawet wyjątkowo smaczne. Kucharze z dowódcą starali się jak mogli, by nas dobrze nakarmić przed pierwszą bitwą. Wiedzieliśmy, że także reszta pułku pojawiła się i jest w ruchu przed bitwą. Wreszcie nasza kompania ruszyła szosą w stronę miasta gdzie trwały frontowe walki z udziałem Armii Czerwonej. Przeszliśmy w marszu ponad kilometr i padł rozkaz dowódcy:

- Wszyscy do rowu na lewą stronę szosy i czołgać się aż do przedmieścia! Broń Boże nie unosić

głowy! Od waszego z poświęceniem zachowania się będzie zależało bezpieczne wdarcie się do miasta.

Do przedmieścia było około półtora kilometra. Szosa biegła na wysokim nasypie przez niskie łąki. Czołgaliśmy się między nasypem a głębokim rowem. Podczołgaliśmy się około 100 metry i napotkaliśmy przerażający widok. Pełny rów rosyjskich żołnierzy leżących jeden przy drugim. Ci co byli między rowem a nasypem spychaliśmy ich też do rowu, by był wolniejszy teren do czołgania. Ogarnął nas strach, że chyba zaraz i z nami będzie to samo. Czołgając się dalej ofiar było coraz więcej, więc musieliśmy czołgać po nich zamarzniętych jak po grubych kłodach, by dotrzeć do pierwszych domów i zająć pozycje przed obroną nieprzyjaciela. Każda kompania starała się być razem, by się nie pogubić w takim natłoku wojska. Ostatkiem sił zmęczeni i wystraszeni spodziewającego się ataku wroga dotarliśmy do pierwszych domów na przedmieściu. Co za ulga była, że już mieliśmy się gdzie schronić. Niemcy przez cały czas lekko ostrzeliwali prawą stronę szosy. To aż dziw, że oni nie pokapowali się co się dzieje z drugiej strony szosy. Cała nasza kompania w komplecie znalazła się na wyznaczonych posterunkach. Gdy zbliżyliśmy się do jednego z domów podchodzi do nas rosyjski kapitan i chce coś mówić do nas, ale mowa zanika mu w gardle i nie mogliśmy zrozumieć o co mu chodziło. Kiedy się nie co uspokoił zaczął mówić wyraźniej:

- W tym domu nikogo nie ma, tylko ja na was oczekiwałem w trwodze, byście nie byli zaatakowani tak jak moi żołnierze. Tylko ja z całej kompanii pozostałem sam. Widzieliście ile w rowach leży rosyjskich żołnierzy? To była moja kompania, ale już jej nie ma. Mnie też za to czeka sąd polowy, więc nie będę na niego czekał. Moje życie musi zakończyć się tu, gdzie zabito moich żołnierzy. A wy Polaczki uważajcie, teraz wasza kolej, wasza szansa wykazania się w walkach i pomszczenie wszystkich poległych w naszych wspólnych walkach. Myślę, że to wam z pewnością się uda, Czego wam życzę z całej żołnierskiej duszy .A teraz ja już idę do swoich.

My wszyscy patrzyliśmy jak będzie umierał za Ojczyznę rosyjski dowódca. Uszedł skrajem szosy nie całe 100 metry. Niemcy otworzyli ogień z karabinu maszynowego, a on przygotowany czekał na tą chwilę. Po pierwszej serii upadł na bok i powoli stoczył się z nasypu do swoich towarzyszy.

Przykry to był dla nas widok. Szkoda nam było tego kapitana, gdyż jego wojenny los był bardzo okrutny, gdyż prócz śmierci nie miał innego wyboru. Oglądana śmierć kapitana bardziej zahartowała nas do boju z okrutnym wrogiem.

W niedalekiej odległości od nas był cmentarz. Otrzymaliśmy rozkaz, a żeby zająć ten cmentarz i umocnić na nim swoje pozycje. Czołgaliśmy się jak popadło, by na cmentarzu było można schronić się jak najprędzej za jego nagrobkami. Podczas czołgania napotkaliśmy straszne pobojuwisko. Znowu wszędzie było mnóstwo zabitych rosyjskich żołnierzy. Działa porozrywane, powywracane drzewa w ogrodach. Zniszczone ciężkie karabiny maszynowe leżały w kawałkach, a wkoło trupy. Tak to ich urządziła niemiecka artyleria. Wkoło leje od pocisków o różnych głębokościach. Cała kompania dotarła szczęśliwie na cmentarz i przystąpiła do okopywania się, by każdy był bezpieczniejszy w swoim dołku. Wzdłuż cmentarza była ulica obsadzona po obu stronach żywopłotem. P jej drugiej stronie około 50 metry nieprzyjaciel miał także swoje okopy. Niebawem Niemcy dostrzegli, że coś się dzieje na cmentarzu. Rzucili więc w naszą stronę kilka granatów i zaczęli obstrzeliwać z karabinów maszynowych. Obok siebie leżąc z kolegą na brzuchach nie zdążyliśmy jeszcze wykopać odpowiednie doły w zamarzniętej ziemi, jak nad naszymi głowami gwizdały kule, które trafiały w nagrobki, a ich odpryski sypały się na nas. Nie mogliśmy jeszcze odpowiadać Niemcom ogniem, gdyż nie byliśmy jeszcze ku temu gotowi. Nagle kolega woła o ratunek. Podczołgałem się do niego i pytam co się stało, a on już nie był w stanie odpowiedzieć. Krew mu ściekała po głowie. W pobliżu mnie okopywał się dowódca plutonu i przekazałem mu informacje o rannym. Sierżant szybko się podczołgał. Chwycił rannego na plecy i nie zważając na obstrzał szybko z nim pobiegł do punktu sanitarnego. Po powrocie przyczółkał się do mnie i powiedział, że mój kolega z pewnością nie przeżyje. Ta wiadomość bardziej mnie zraniła gorzej niż kula. Nie chciało mi się już dalej okopywać. To było dla mnie najstraszniejsze przeżycie wojenne. Nie słuchałem już kul trzaskających po nagrobkach. Pogrzeżyłem się w myślach, jak ja dalej będę walczył bez przyjaciela wojennej niedoli, z którym razem w ciężkich chwilach życia o głodzie zebrałem z narażeniem życia o posiłek. Jak w Warszawie spędzałem z Nim Wigilijny Wieczór z pięknymi paniami. Jak w lasach spędzaliśmy mroźne noce przytulone do siebie, by podczas spania było nam cieplej. Jak cieszył się także ze swojej pięknej narzeczonej, która razem z jego mamą oczekują w trwodze na swojego, zwycięskiego bohatera Tomka. Jak mnie polubił być razem w wojennej doli i niedoli. A teraz ja bezradny nie mogę Mu uratować życia. W tej, rozpaczającej chwili czułem się jak rosyjski kapitan po utracie swoich żołnierzy. Tą wojenną stratę nie tylko dźwigałem podczas wojny, ale będę ją dźwigał w swojej pamięci do końca życia. Chyba jest bardzo mało ludzi, którzy rozumieją ból wojennego żołnierza, który poświęcał życie dla swojej Ojczyzny, dla swoich Bliskich, dla swoich Potomnych.

Niemcy przez cały czas z przerwami obstrzelili nasze pozycje, gdyż już wiedzieli dobrze, że na cmentarzu jest ich nieprzyjaciel. My siedzieliśmy w swoich norach cicho, gdyż nie było rozkazu do strzelania. Nadszedł wieczór, na cmentarzu zapanował spokój. Całą noc nie wolno było zdrzemnąć się. Czuwaliśmy w pogotowiu. Wróg w każdej chwili mógł nas zaatakować, tylko nie wiedzieli jaka siła znajduje się na cmentarzu. Przetrwaliśmy noc w napięciu i w wielkim niepokoju. Czuliśmy przeważającą siłę wroga. W oddali od nas były widoczne mury gazowni odległe od nas około 700 metry. Stamtąd też nasze pozycje były obstrzeliwane. Niemcy tam czuli się jak w fortecy. Z tych murów dokonano masakry Armii Czerwonej, gdy próbowali wdrzeć się do miasta.

9 marca 1945 rok dzień prawie wiosenny i pogodny. Oglądaliśmy z cmentarza jak wschodziło piękne, wiosenne słońce. Pięknym śpiewem na dużych drzewach witali go ptaszęta. To piękno spokojnego poranka zakłócił potężny huk armat. Z orientowaliśmy się, że to odezwała się nasza artyleria. Kanonada trwała około godziny. Wybuchy pocisków rozrywały się w okolicy gazowni. Ucieszyliśmy się bardzo, że na pewno wykurzą wroga z tych murów i dostaną porządne lanie za swoje zbrodnie na Armii Czerwonej. Obserwowaliśmy ze swych okopów jak czerwony kurz unosi się w górę nad gazownią. W tym czasie dostrzeżliśmy także jak nasi, okopani sąsiedzie uciekają ze swoich kryjówek w stronę miasta. Było jasne, że ich punkt ochrony został zlikwidowany. Chcieliśmy na zapęd do nich postrzelać, ale byli nie co za daleko. Kiedy działa umilkły padł głośny rozkaz – Naprzód! Ruszyliśmy więc do natarcia na gazownię z okrzykiem: Hurra! Hurra! Do przodu na wroga! Biegliśmy co sił bez strachu z radością, z entuzjazmem zbliżając się do murów gazowni. Niemcy już wcale nie odezwali się. A ni jednego strzału nie oddano w naszym kierunku. Wyglądało na to, że wróg został doszczętnie pokonany. Kiedy dobiegliśmy do gazowni nie zobaczyliśmy ani jednego „szwaba” Co się z nimi stało? Gdzie ci zbrodniarze podzieli się? Zabitych bardzo mało. Po krótkich poszukiwaniach znaleziono sześć osób w piwnicy zabarykadowanych beczkami i skrzyniami co było trudno ich odnaleźć. Wyprowadzono ich z piwnicy z wielką wściekłością i nienawiścią i na miejscu rozstrzelano. Nie wiadomo ilu ich uciekło ze strachu. Widzieliśmy ich sporo w polu podążających w stronę portu. Byli oni w odległości poza zasięgiem naszej broni. Przy gazowni na torach stały wagony towarowe. Więc musieliśmy sprawdzić jaki zawierają ładunek. Kilku z nas wskoczyliśmy na ścianę wagonu i zobaczyliśmy w nim dużą ilość butów wojskowych, przywiezionych prosto z fabryki. Chcieliśmy wskoczyć do środka i przymierzyć jak pasują. W tym momencie zauważyli nas Niemcy, którzy kryli się w pobliskich ogrodach. Niedobitki z gazowni dali serię z broni maszynowej po tym wagonie. Szybko zeskoczyliśmy i skryliśmy się pod wagon. Na szczęście nikt z nas nie oberwał. Gdy zbliżał się wieczór nasza kompania wybrała wilię na nocleg w pobliżu gazowni. Rozlokowaliśmy się na parterze i na piętrze z zadowoleniem, że już sobie porządnie odpoczniemy. Stało się inaczej, W pobliżu ogrodu przechodził tor kolejowy z portu do gazowni. Tory były ułożone na wysokim nasypie. Niemcy chcieli nas wykurzyć z tej wili i zza nasypu puścili kilka serii po oknach na parterze. Padliśmy wszyscy na podłogę. Spodziewaliśmy się następnych serii, które już nie powtórzyły się. Dowódca nasz postanowił zlikwidować wrogich śmiałków. Do likwidacji wyznaczył cały pluton. Z wili podbiegliśmy do nasypu. Czujnie ustaliliśmy gdzie jest ich gniazdo. Podczołgaliśmy się naprzeciw gniazda i raptownie skoczyliśmy na leżących „szwabów”. W tej szamotaninie dwóch uciekło do wagonu i zaczęli do nas strzelać. Dwóch, naszych żołnierzy zostało nie groźnie rannych a trzeciego leżącego zanieśliśmy na opatrunek do sanitariusza. Po opatrzeniu zaczął skakać na jednej nodze. Po okrążeniu wagonu strzelali do nas na ślepo. Ja skradłem się pod uchylone okno wagonu i wrzuciłem granat. Po wybuchu strzały ucichły. Stwierdziliśmy, że jeden był zabity, a drugiego musieliśmy dobić. A ci złapani zostali także rozstrzelani na ogrodzie. Dla dowódcy złożyliśmy meldunek, że rozkaz w pełni został wykonany.

Tego dnia wieczorem dowódca plutonu wysłał kaprała i mnie na wartę do sąsiedniej wili. Z której to strony można byłoby spodziewać się Niemców. Dla bezpieczeństwa odpoczywającej kompanii rozciągnęliśmy za sobą kabel PTF i podłączyliśmy telefon. Trzeba było obserwować cały teren, by czasem znowu jakieś rozbitki nie zbliżyli się do naszej kompanii. Na parterze w wili było całkiem pusto. Żadnych mebli wewnątrz jej nie było. Pomyśleliśmy, że Niemcy zdążyli wszystko wywieźć. Zeszliśmy do dużej, obszernej piwnicy. Była ona podzielona na wiele pomieszczeń. Zobaczyliśmy, że eleganckie meble jednak są, tylko zostały tu zniesione przed zagrożonym zniszczeniem. Cztery okna w piwnicy były wygodne do obserwacji, co wokół niej podczas nocy będzie się działo. Kaprał mnie wysłał obserwować z dwóch okien, a sam pozostał przy pozostałych oknach. Przez spore okna piwnicę oświetlały palące się domy. W sąsiednich dzielnicach trwały jeszcze walki uliczne. Słyszał było pojedyncze i seryjne strzały i głośniejsze wybuchy jakichś pocisków. A w naszej dzielnicy było cicho, jakby tu nie dotarła wojna. Rozmowa między nami na

chwilę urwała się jakby zabrakło tematu. Kaprał mnie pyta: :

- Jackowski, co ty śpisz?
- Ale skądże, cały czas obserwuję. Na razie nie widzę, by się coś działo.
- Ty mi nie kłam, gdyż słyszałem jak chrapałeś.
- To nie prawda, bo mi się nawet jeszcze nie chce się spać. A do tego muszę czuwać nad spokojnym snem naszej kompanii, a zasnąć nam nie wolno.
- No to chodź do mnie

Usiadłem więc przy nim na wygodnym tapczanie

- Teraz słuchaj, coś tu chrapie.

Stwierdziliśmy oboje, że tu ktoś chrapie. Podeszliśmy do prowizorycznych drzwi z desek, przez które przedostawał się odgłos chrapania. Długo nie myśląc kaprał podszedł do drzwi. Próbował otworzyć, lecz one były zabarykadowane. Więc z całej siły uderzył w nie kolbą automatu i drzwi się otworzyły. Z bronią gotową do strzału zaśwycił latarką. Dwóch Niemców ogromnie przestraszonych poderwało się ze snu i od razu unieśli ręce do góry, nawet nie próbowali chwycić za broń. Byli na pewno bardzo zmęczeni i znaleźli sobie spokojną kryjówkę na odpoczynek. Kaprał podczas rewizji nie znalazł innej broni. Potraktował ich dość łagodnie i zadzwonił do dyżurnego kompanii, który wysłał dwóch żołnierzy po jeńców. Z kapralem przeszukaliśmy wszystkie zakamarki piwnicy, więcej nic podejrzanego nie stwierdziliśmy. Było jeszcze przed północą kiedy wróciłem na swoje stanowisko do okna. Odgłos walk w sąsiedniej dzielnicy jeszcze trwał. Pożary dość daleko oświetlały teren. Po przeciwległej stronie placu dostrzegłem jak w naszym kierunku ulicą podąża duża grupa uciekających Niemców. Kaprał natychmiast telefonicznie zaalarmował odpoczywającą kompanię. Kiedy Niemcy zbliżali się do sąsiedniej willei Z naszej kompanii odezwał się CKM. Patrzyłem, jak od razu upadło kilka Niemców, a reszta ich z ciągnionym karabinem maszynowym skierowała się w bramkę sąsiedniej 2 piętrowej willei. Kiedy schronili się w willei, nasz CKM ucichł. Było po północy, na moje i kaprała miejsce przyszła zmiana, lecz z siłą całego plutonu i z karabinem maszynowym.

10 marca 1945 roku do końca nocy czuwały wzmocnione posterunki, a reszta żołnierzy spała z bronią w rękach. Było jeszcze ciemno jak żołnierzom rozdawano posiłek. Kiedy się robił świt w ogrodzie przy willei odzywał się śpiew ptaków. Śniegu już nie było i czuć było wiosnę. Wszyscy czekaliśmy na rozkaz likwidacji ukrytego sąsiada, który z pewnością robił w portki. Ta willea gdzie się skryli była ogrodzona drucianą siatką. Od bramki przy ulicy do willei prowadził chodnik z obustronnym żywopłotem. Niemcy zdążyli umieścić CKM na płaskim dachu tego budynku. Dowódca kompanii dał polecenie, by te gniazdo natychmiast zlikwidować. Został omówiony plan działania i plan tego domu i ogrodu. Dał rozkaz do natarcia ale tylko dla jednego, naszego plutonu.

Sierżant zarządził zbiórkę plutonu i po swojemu omówił plan działania. Każdy żołnierz miał swój odcinek wyznaczony do natarcia, tylko nasze zadanie było utrudnione z powodu pokonania płotu ze stalowej siatki. Chodnik, który od bramki prowadzi do willei jest za wąski, aby cały pluton na nim się zmieścił. Nie ma więc innego wyjścia jak błyskawicznie sforsować płot i czołgać się wzdłuż żywopłotu do willei.

- Do ataku! - krzyknął sierżant, a sam schronił się na werandzie pobliskiej willei, obserwując jak przebiega akcja. Ja trafiłem podczas natarcia na głęboki lej po wybuchu pocisku z wyrwaną częścią siatki gdzie mogło się zmieścić kilka żołnierzy. Chłopcy zaczęli forsować siatkę o wysokości około 2 metry. Ja natomiast z dwoma żołnierzami wskoczyliśmy do tego leja pod siatką i czekam aż wszyscy sforsują siatkę, by razem przystąpić do natarcia. Podczas forsowania siatki Niemcy otworzyli ogień z broni maszynowej. Chłopcy padali zabici i ranni. My siedzimy w tym leju bezpieczni, gdyż nas chroniła krawędź dachu między CKM -em a lejem. Patrzymy na tragedię kolegów. Nagle sierżant krzyknął:

- Cały pluton, natychmiast wycofać się!

Kto już zdążył pokonać siatkę to wycofywali się przez ten lej chwytając po drodze rannych i zabitych, a CKM kosił nas nadal. By nam ułatwić wycofywanie się kompania zdążyła umieścić swój karabin maszynowy w dogodniejszym miejscu i posypały się jego serie na gniazdo wroga, przez co ich CKM chwilowo ucichał. Wszystkich zabitych nie udało nam się zabrać. Plan sierżanta nie powiódł się. Jak na pluton poniesiono znaczne straty w ludziach. Rannych zaraz zabrał samochód do polowego szpitala.

11 marca 1945 rok nocowaliśmy w tej samej willei. Dowódca kompanii drogą radiową skontaktował się z pobliską jednostką pancerną. Rano przy rogu naszej willei zatrzymał się czołg. Widzimy jak wieża z lufą działa skręciła się w kierunku gniazda wroga. Przez chwilę przymierzał się i wreszcie huk.

Nad uszkodzonym dachem uniosła się chmura kurzu, z fruwającymi kawałkami CKM-u i kawałkami ciała wroga. Ocalało tylko dwóch Niemców, którzy się sami poddali. W odwecie za poległych żołnierzy natychmiast zostali rozstrzelani. Zeszliśmy do piwnicy, tam zastaliśmy dużo niemieckich cywilów starców, kobiet i dzieci. Nasi żołnierze dokonali na nich rabunku i zabrali wszystko co im się przydało. Ja natomiast nie byłem taki chciwy i nie miałem sumienia rabować niewinnych ludzi. Nie miałem nawet zegarka, a niektórzy chłopaki mieli po kilka. Ja byłem zadowolony, że jeszcze żyję i jestem zdrowy.

Naszyc zabitych dziewięciu żołnierzy zawieziono samochodem na cmentarz poległych. Po ich pochowaniu ekipa pogrzebowa oddała honorową salwę.

Przez następny tydzień w Kołobrzegu nasz pułk walczył w różnych rejonach miasta. Walki uliczne nie raz trafiały się bardzo ciężkie, wiele chłopaków z naszej kompanii ginęło. Przerazało nas, że do całkowitego zdobycia Kołobrzegu kompania nasza może przestać istnieć. Ze stratami naszych chłopaków zdobywaliśmy dom po domu, ulica po ulicy. Chociaż wolno ale zawsze posuwaliśmy się do przodu. Straty podczas wojny nie bierze się pod uwagę, gdyż po to jest wojna, by ginęli ludzie. A wroga, który nam dokuczał od wieków musieliśmy go wykurzyć z tych ziem.

Po kilku ciężkich bajach dotarliśmy do śródmieścia. Kompania nasza rozlokowała się na noc w częściowo zrujnowanym domu. W każdej chwili trzeba było być w pogotowiu, a o spaniu nie było mowy, tylko lekki odpoczynek z obstawioną silną strażą. Dwóch nas czuwało na posterunku. W pobliżu było wyjątkowo spokojnie tylko niedaleko nas płonął budynek, a w kilku miejscach trochę dymiło. Nieco dalej słychać było pojedyncze strzały i od czasu do czasu wystrzeliwane rakiety oświetlały ulice miasta. Była to zwykła, miejska, frontowa noc, ale w takim czasie także zdarzają się niespodzianki. Stojąc przy wybitym oknie na straży obserwowałem ulicę. W pewnym momencie usłyszałem gwizd nadlatującego pocisku, jakby leciał prosto na nas. Myślałem, że za moment do reszty rozwali się nasz dom i zasypie gruzem resztę przeżyłą kompanię. Jego eksplozja nastąpiła w narożniku sąsiedniego domu, odległego o dwa metry od nas. Siła wybuchu była tak silna, że w naszym domu wyrwała kawałek ściany. Odpoczywające żołnierze zostali zasypani cegłami i gruzem. Wszyscy myśleli, że to Niemcy nas zaatakowali. Nie wszyscy skoczyli na nogi. Dwóch żołnierzy zostało poważnie rannych, a jeden z nich w głowę. Żołnierz krwawił i jęczał z bólu ale był przytomny. Nie trwało długo wybuchł następny pocisk o tej samej sile lecz na ulicy koło naszego domu. Od tego wybuchu nikt nie doznał obrażeń. Każdy myślał, że Niemcy nas namacali i chcą wykończyć. W napięciu rozmyślaliśmy, czy nie opuścić tego domu. Po pół godzinym czekaniu nic już się nie działo. Sam dowódca opatrzył rannych a my po zmianie warty z resztą kompanii położyliśmy się do odpoczynku. Wszyscy żołnierze byli bardzo zmęczeni po kilku dniennych walkach. Walki uliczne w śródmieściu były bardzo groźne i bardzo niebezpieczne z uwagi stosowania do tych walk przez Niemców nowoczesnych czołgów. Chcąc posuwać się naprzód trzeba było co rusz zajmować z wielką ostrożnością następny dom i nowe stanowisko ogniowe. Zdarzało się, że podczas zajmowania stanowiska wróg nas wyprzedził i wtedy to już była pewna pułapka. Stanowiska ogniowe zajmowaliśmy przeważnie na klatkach schodowych na piętrze, by była lepsza obserwacja ulic, a w razie pojawienia się czołgu szybko uciec na niższe kondygnacje. Kiedy wróg wykrywał nasze stanowisko ogniowe, zaraz na ulicy pojawiał się czołg. Zanim namierzył nasze stanowisko, trzeba było błyskawicznie znaleźć się na niższej kondygnacji. Podczas ucieczki gruz z wyrwanej przez pocisk ściany często bombardował schody po których uciekaliśmy. Kilku naszych chłopaków było wprawionych, by unieruchomić groźnego kolosa. Mieliśmy zawsze przygotowane wiązanki takich ładunków. Biedne, dzielne chłopaki z narażeniem i poświęceniem życia dawali radę, by unieszkodliwić tak groźną broń „Tygrysa”. W śródmieściu spotykaliśmy także walczące oddziały „SS”, które widząc zbliżającą się przegraną stawiali zaciekły opór. Nie poddawali się, walczyli do końca, gdyż wiedzieli, że ich nie chcą brać do niewoli. Przy nich walczące inne jednostki musieli dorównać w boju. Kto poddawał się do niewoli, to go rozstrzeliwali, przez to o wiele więcej Niemców poległo. Inne jednostki gdzie nie było esesmanów nie chciało umierać bez sensu i masowo szli do niewoli.

PO OSTATNIEJ BITWIE O KOŁOBRZEG

18 marzec 1945 rok ten dzień był wielkim zwycięstwem dla naszego pułku. Ostatnią bitwę stoczyliśmy o zdobycie portu, która trwała przez całą noc. W tej, okrutnej, chaotycznej bitwie nasza kompania całkiem się rozproszyła. Słońce nie zdążyło jeszcze wzejść, a nas trójka po ogłoszeniu zdobycia portu z kolegami wystrzeliliśmy na wiwat zdobycia tego miasta po ostatniej serii. To była niedziela i wielkie święto dla nas, dzień zdobycia Kołobrzegu. Przez te kilka dni walki o te miasto ponieśliśmy ogromne straty

w ludziach i sprzęcie. Pozostała nas tylko garstka a dowódca nasz też gdzieś zaginął. Cieszyliśmy się ze zwycięstwa, ale i bardzo smutni że nasi wspaniali koledzy, nasi wspaniali dowódcy plutonów i drużyn nie doczekali tego święta. Była radość na duszy, a ciężar na sercu. W tej ostatniej chaotycznej walce nie wiadomo było, czy jeszcze ktoś przeżył. Nasze główne dowództwo było bardzo dumne, że w większej części Wojsko Polskie pokonało tak dużego, tak silnego wroga. W sumie wg Wikipedii zginęło 1206 a rannych zostało 2500 żołnierzy. /wg prasy kołobrzesckiej/ w sumie w bitwie o Kołobrzeg zginęło 1992 żołnierzy polskich. Armia Czerwona poniosła straty o wiele większe.

Po południu tego dnia odwiedziliśmy morze. Tylko żałowaliśmy, że nie zdążyliśmy na uroczystość zaślubin z morzem. Śpiewaliśmy z radości i cieszyliśmy się ze zwycięstwa. Niemcy jednak w wielkim popłochu zdążyli załadować się na okręty i odpłynąć. Można było jeszcze ich zobaczyć na horyzoncie jako małe punkciki. My będąc pierwszy raz nad morzem podziwialiśmy piękny widok bezkresnych obszarów wód Bałtyku. Podczas wiosennego słońca morze cudownie szumiało, a jego, ogromne fale rozbijały się o portowe brzegi. Nieco dalej piaszczyste plaże ciągnęły się bez końca, nad którymi unosiły się stada piskliwych mew. Ten uroczy widok morza pozostanie na zawsze w pamięci każdego żołnierza, który go wywalczył dla swojej Ojczyzny.

Całe popołudnie tego dnia w porcie i na plaży gromadziły się nasze wszystkie wojska ze wszystkich zakątków miasta, ażeby zobaczyć i podziwiać swoje morze. Tu odszukiwały się wszystkie, rozproszone, walczące jednostki ze wszystkich zakątków miasta, by żołnierze mogli się połączyć ze swoimi kompaniami i ze swoimi dowódcami. Kiedy nas bardzo mało odnalazło się, to byliśmy bardzo smutni, że tak wiele naszych kolegów poległo i nie zobaczyli swojego, wywalczonego morza. Swojego dowódcę kompanii spotkaliśmy w porcie. Odszukiwał swoich żołnierzy, by skompletować swoją kompanię. Cekał ich do samego wieczora. Był bardzo zasmucony, kiedy już musiał zrezygnować z dalszego oczekiwania. Po rozpoczęciu walk o Kołobrzeg nasza kompania z dowódcą liczyła 80 ludzi. A teraz naliczył nas tylko siedmiu a sam ósmy. Po krótkim podliczeniu powiedział, że zginęło nas około 28 , a rannych zostało około 44 żołnierzy.

W porcie był ogromny magazyn żywnościowy. Ekspresowo zorganizowano porządek i szybką obsługę. Do tej obsługi nas trzech też trafiło. Każdy indywidualnie mógł się zaopatrzyć w prowiant na dwa dni. Za ogromną kupą skrzyń znaleźliśmy pluton Niemców. Wszyscy, przerażeni wojacy wyszli z podniesionymi rękami. Krzycząc:

Deutschland und Hitler kaput!

Trochę żeśmy się uśmieli, bo wcale nie mieliśmy zamiaru robić im krzywdy. Cała ich broń była złożona w pustych skrzyniach. Byli to wszyscy szeregowi. Dla nich miejsca na okrętach nie było. Wiadomo było, że ich dowództwo zwało a ich zostawiono na łaskę losu. Mieli dużo broni i amunicji, ale nas nie zaatakowali, bo to byli ofiary hitlerowskiej polityki. Po opuszczeniu magazynu dowódca poprowadził nas z całym dobytkiem żywności na wyznaczoną kwaterę. Tam już spokojnie, bez przygód byliśmy na zasłużonym odpoczynku i spożywaliśmy swoją zdobycz. Długo jeszcze nie spaliśmy, gdyż przez ostatnich kilka dni przeżyliśmy wiele przygód i mieliśmy o czym rozmawiać. Wszyscy usypialiśmy z myślą, że z poświęceniem dla Ojczyzny spełniliśmy żołnierski obowiązek.

Na drugi dzień z samego rana załadowaliśmy się na ciężarowy, zdobyczny samochód, który nas przywiózł do dużej, niemieckiej farmy. Pracowali w niej niemieckie rodziny, przeważnie kobiety z dziećmi i mężczyznami w podeszłym wieku. Odpoczywaliśmy tam prawie przez cały miesiąc. Tu już nic nam nie brakowało. Kobiety niemieckie chciały, czy nie chciały musiały dbać o nasze wyżywienie. Wiosenny czas odpoczynku szybko minął. W tym czasie uzupełniano naszą kompanię, młodymi, poborowymi. Po dwóch tygodniach było nas znowu 80 żołnierzy. Tych, nowych jak rekrutów ganiano po polach, ćwiczyli w strzelaniu, a my tylko przyglądaliśmy się temu jak weterani walk.

FORSOWANIE ODRY

14 kwietnia 1945 rok prawie miesiąc odpoczynku i spokoju szybko minął. Kompania znowu w komplecie ruszyła w drogę. Nic nam nie mówiono dokąd następnie podążamy. Orientowaliśmy się sami, że z pewnością zdążamy do Berlina. Maszerowaliśmy przez sześć dni i dotarliśmy w rejon Kostrzyna n/o. W okolicy wsi Gozdowice zastaliśmy duże zgrupowanie wojsk Arii Czerwonej i Wojska Polskiego z dużą ilością sprzętu bojowego. Kostrzyn był od nas z lewej strony około 8 km. Dowiedzieliśmy się dokładnie, że będzie próba forsowania Odry. Rzeka podczas roztopu wiosennego była szeroko rozlana około ponad 180 m.

Rozlokowaliśmy się w lesie nie co oddalonym od rzeki. W dzień było już dość ciepło, a nocne małe przymrozki można było przetrzymać. Gdy raniutko, kiedy się trochę rozjaśniło obserwowaliśmy jak manewrują „Katusze” i ustawiają się w odpowiednich miejscach. Czekamy, że za chwilę będzie gorąco, a tej temperatury chyba Szwaby z pewnością nie wytrzymają. Zaraz za rzeką mieli silne umocnienia fortyfikacyjne, a w nich wiele nowoczesnego uzbrojenia. Na pewno oczekiwali, że z naszej strony nastąpi niebawem ofensywa. A będą nią dowodzili: generał Stanisław Popławski i marszałek Gieorgii Żukow.

20 kwietnia 1945 rok raniutko zagrzmiały „Katusze”. Nie wiadomo ile ich tam było. Dopomagały im działa artyleryjskie ustawione w lesie wzdłuż rzeki. Kanonada trwała może 15, 20 minut. Pod koniec kanonady wojsko z lekkim uzbrojeniem zaczęło forsować rzekę na pontonach i łódkach z wielkim pośpiechem, by jak najprędzej przedostać się na drugi brzeg i okopać się przed wałem rzeki. Wkrótce cała rzeka zapełniła się pontonami z wojskiem. Tymczasem Niemcy nieco ocknęli się po kanonadzie i zobaczyli co się dzieje na rzece. Przypuścili zaporowy ogień z karabinów maszynowych na rzekę i za rzekę. W tym czasie sporo żołnierzy zostało zabitych i utopionych na sporym odcinku naszego frontu. Na dodatek nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły bombardować i ostrzeliwać rzekę i las, gdzie nasze wojsko było lekko okopane i nie przygotowane do obrony. Po naszej stronie rzeki powstał popłoch i zamieszanie. „Katusze” były zmuszone powtórzyć akcję znacznie dłużej niż poprzednio, co znacznie poprawiło sytuację. Niemcy kompletnie zamilkli. Saperzy natychmiast przystąpili do budowy mostu na rzece z drewnianego materiału, który już był przygotowany na ten cel. Robota szła szybko i sprawnie, że w ciągu jednej nocy most był gotowy do przeprawy. Była to naprawdę mordercza praca saperów i pozostałego wojska, która wymagała żołnierskiego poświęcenia.

21 kwiecień 1945 rok wiosenny poranek był ciepły i słoneczny. Wojsko ruszyło na most. Najpierw samochody z działami pojedynczo na próbny przejazd. Próba powiodła się i wszystkie pojazdy łącznie z czołgami pokonywały tęgi most. Piechota przedzierała się między pojazdami a ja z nią, by jak najprędzej znaleźć się na drugiej stronie rzeki. W tym czasie, kiedy był zapełniony most żołnierzami i sprzętem wojennym pojawiło się sporo samolotów. Nasza kompania była już na drugiej stronie rzeki. Wszyscy upadliśmy i obserwowaliśmy jak samoloty pikują, bombardują i obstrzeliwują most.. Kiedy odezwała się nasza artyleria przeciwlotnicza, szybko zniknęli. Podczas przeprawy przez most było trochę strat w ludziach. Wielkie szczęście mieliśmy, że żadna bomba nie trafiła na most. Parę kilometrów od nas w dół rzeki w miejscowości Siekierki też w tym czasie trwała przeprawa przez uszkodzony most kolejowy. Tam trwały dłużej wybuchy. A my przed wałem przeciw powodziowemu okopaliśmy się i odpoczywali. „Katusze” i inne działa po sąsiedzku zajęły stanowiska i czekali na dalsze rozkazy. Wszędzie był spokój, żaden Niemiec nigdzie się nie odezwał. Kiedy dłuższy czas trwał całkowity spokój, spróbowaliśmy wyjść z okopów i rozejrzeć się po terenie. Zobaczyliśmy okropne pobojuisko, gdzie wszystko spustoszyły „Katusze” i ciężkie działa. Dookoła gruzowiska wskazywały, że tu była wieś, a przed nią były potężne umocnienia. Pozostały po nich wkoło ogromne, sterczące odłamy żelbetonu. Ciężko opowiedzieć jak tu wkoło na sporym obszarze wyglądało. Można byłoby określić, że tej zagłady dokonała jakaś potężna siła z kosmosu. Na tym pobojuisku nie było możliwości, by po nim przejść się. Wszędzie dookoła leżały porozrywane i po przypalane trupy żołnierzy i cywili. Wkoło był swąd i dym. Drugi już raz obejrzelśmy skutki działań „Katuszy”. Gdyby Niemcy wiedzieli, że spotkają się z taką bronią, to by wojny nie zaczęli. Po zakończonej operacji i krótkim odpoczynku nasze wojska ruszyły w kierunku Berlina. Przez kilka dni znowu maszerowaliśmy, a wojsk niemieckich ani śladu. Obserwowaliśmy tylko jak kilometry szosy były przepełnione niemieckimi cywilami uciekającymi na zachód. Nasze wojsko wcale ich nie ruszało i nie przeszkadzało w drodze do spokojnego jutra. Nasz pułk zadysponowany podążał na ostatni bój o Berlin. Zatrzymaliśmy się jak zwykle na odpoczynek w lesie około 10 kilometrów od Berlina.

KONIEC WOJNY

9 maja 1945 roku o majowym poranku siedząc pod sosnami spożywaliśmy z menażek ciepłe śniadanie i popijaliśmy jak zwykle kawę zbożową nieco trochę przysłodzoną. W tym momencie zjawił się goniec sztabowy i woła naszego dowódcę kompanii do sztabu na naradę oficerów. Porucznik pospieszenie dokończył śniadanie i szybko udał się do sztabu, który był w odległości około 200 m. My sobie siedzimy pod drzewami i dyskutujemy, że jesteśmy od Berlina około 10 km gdzie toczą się zacięte walki, gdzie ginie dużo żołnierzy z 2. Armii Wojska Polskiego i 1. Armii Frontu Ukraińskiego, więc z pewnością musimy im

podążać na pomoc. Minęło dwie godziny a porucznik nie wraca. Z ciekawością oczekujemy na jego wiadomość. Nareszcie się zjawił i krzyknął z radością:

- Żołnierze moi kochani, oznajmiam wam koniec wojny! Niemcy podpisali kapitulację! Berlin zdobyty!

Wszyscy oszołomieni tą wiadomością z wielkiej radości krzyczeliśmy w niebo głosy: Hurra! Hurra! Hurra! Rzucaliśmy czapki do góry. Strzelaliśmy w górę, aż wszystkim opróżniły się magazynki. To był szczyt naszej, wielkiej uciechy. To oznaczało, że wszyscy wracamy do swojej Ojczyzny, do swoich Rodzin. To szczęście nie mogło się pomieścić w naszych umysłach. Było wielką radością, żeśmy przeżyli i wytrzymali tak ogromny trud bitewny żołnierza Wojska Polskiego.

Święto zwycięstwa obchodziliśmy przez 3 dni chociaż ubogo ale wesoło. Tylko sztab pułku przez ten czas ciężko pracował. Wszystkie, zasłużone dowództwo w bojach otrzymało awanse. Nasz porucznik Święcicki otrzymał awans kapitana i został mianowany na stanowisko oficera sztabowego. Naszarych żołnierzy zasłużonych w bojach udekorowano odznaczeniami i medalami. Tylko tyle skorzystaliśmy za bitwy z poświęceniem życia o wolność dla Ojczyzny.

Po trzech dniach odpoczynku w lesie wyruszyliśmy znowu w nieznaną drogę. Po 15-u km. dotarliśmy do jakiejś stacji kolejowej. Dowódca powiedział, że tu załadujemy się do wagonów na powrót do Polski. Pułk ładował się przez cały dzień i wieczorem wyruszyliśmy w drogę do Kraju.

PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

13 maja 1945 rok pociąg wyruszył z wesołym śpiewem weteranów wojny. Zbliżała się noc. Pociąg monotonnie stukając na złączach szyn pędząc do Polski. Żołnierze zmęczeni wojną i jej tragicznymi przygodami zaczęli usypiać. Moją senność zablokowały plany mojej przyszłości. Myślałem, jak ja odnajdę Międzyzlesie i jak mnie będzie spotykać Rodzina, a przede wszystkim moja Mama, która nie szczędziła łez po swoich dwóch synach, których zabrała wojna i nie pozwalała Jej spać spokojnie przez 5 długich lat? Czy Jej pozostało chociaż trochę łez szczęścia na powitanie i uściski swoich synów, którzy przeżyli gehennę wojny? Od czego zaczniemy powojenne życie w Międzyzlesiu? Jak nasza wioska wygląda i co w niej się dzieje? Gdzie i jaką znajdę miłość swojego życia? Czy ta, powojenna ciuchcie dowiezie mnie do Niej? Czy warto było poświęcać życie dla niej? Czy mój los życia po wojennych trudach będzie szczęśliwy? Pociąg pędził dalej, aż pograżyłem się w swoich, sennych marzeniach. Ta podróż trwała przez trzy doby. Byłem znowu zaniepokojony, dokąd znowu jedziemy na wschód? Tym celem było miasto Chełm Lubelski. Zamiast powitać się z rodziną, znowu znaleźliśmy się w koszarach.

ETAP IX --- UKRAIŃSKA POWSTAŃCZA ARMIA

Powstała ona w porozumieniu z Niemcami 14 października 1942 roku przez ukraińskich nacjonalistów. Celem ich było spacyfikować Rosjan, Polaków, Czechów. Żydów i innych narodów, by utworzyć niezależne państwo ukraińskie. Liczebność tej armii w roku 1944 wynosiła 40 tysięcy ludzi. Kulminacją mordu Polaków co najmniej 50 tysięcy była latem 1943 roku. Po konferencji w 1945 roku w Jałcie i Poczdamie o ustalenie granic Polski działalność UPA na terenie Polski była wciąż aktywna. Dlatego po kapitulacji Niemiec żołnierze naszego pułku nie trafili do swoich domów lecz w Bieszczady w znanym celu. (Ostateczne niedobitki UPA zostały zlikwidowane w 1953 roku).

Ja miałem dużo szczęścia, że ominęły mnie akcje w potyczkach z UPA. Dowództwo pułku między nami odszukało zawodowego piekarza, któremu powierzono piekarnię i wybranie dla siebie trzech pomocników jako uczni. Z Józiem zaprzyjaźniłem się w znanej farmie, w której było uzupełnienie kompanii młodymi poborowymi. Za moją życzliwość bardzo mnie polubił. Kiedy forsowaliśmy Odrę był zawsze przy mnie. W chwilach odpoczynku lubił mnie opowiadać o swojej młodości i że właśnie tu w tym mieście się urodził i w czasie wojny zdobył zawód piekarza. Los chciał, że po odrobinie wojny trafił do swojego miasta, by w nim piec chleb dla wojska. Podczas tematu piekarniczego opowiadałem Mu jak moja Mama co kilka dni piekła chleb dla swojej rodziny, jak robiła zaczyn, jak w czasie zimy otulała ciasto, by odpowiednio urosło, jak chodziłem po łąkach i szukałem kminku, by dla smaku chleba zaprawić ciasto.

Józio więc mnie pierwszego wybrał do pomocy, a następnie z nim ustalaliśmy z kogo jeszcze utworzyć piekarniczy zespół. Po pierwszym wypieku nie było żadnych uwag ze strony dowództwa. Tak to w Chełmie Lubelskim zostaliśmy piekarzami. Nasze pistolety maszynowe wisiały w sypialni na hakach nie używane. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do swoich zadań i było nam całkiem dobrze.

Na własne wyżywienie przydzielano nam suchy prowiant: mąkę, kaszę, masło, mięso i inne dodatki. Z początku nie wiedzieliśmy co z tym zrobić? Uzbierało się tego sporo a kucharzem nikt nie chciał być, więc zapasy zaczęły się psuć. Uzgodniliśmy między sobą, że w pobliżu musimy poszukać sobie gosposi, by chociaż obiady dla nas gotowała. W krótkim czasie znaleźliśmy starszą panią, by nam dla tego celu służyła i sama także z naszego prowiantu nieźle skorzystała. Czuliśmy się wolni jak w cywilu. Po pracy do naszej dyspozycji było całe miasto. Nikt nas i nigdzie nie kontrolował.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. 1945 roku. Każdy z nas myślał i tęsknił do swego domu, do swojej rodziny. Nasz zawodowy piekarz nie miał tego problemu. Pochodził z tego miasta i często przebywał w domu. Zazdrościliśmy mu, że służbę wojskową odbywa w domu. Kilka dni przed świętami zdarzyła mi się także miła niespodzianka. Do piekarni po chleb zjawił się mój dowódca plutonu. Zapytał mnie, czy chciałbym być na święta w domu. Myślałem, że ze minie żartuję, kiedy pokazał mi rozkaz wyjazdu na 14 dni na urlopu cała załoga piekarnicza wraz z dowódcą bardzo się cieszyła razem ze mną. Ruszyłem więc do fryzjera. Umyłem się i w moment byłem już na stacji. Pociąg pędził na Ziemie Odzyskane a ja cały czas rozmyślałem. Po 18 miesięcznej, wojennej tułaczce wydawało mi się jak gdyby nie widziałem rodziny przez wiele lat i gdzie ją odnajdę w nieznanych terenach? W Świebodzinie szybko odnalazłem kierunkowskaz do Skampe. Za miastem nie było żadnego ruchu i nie wiedziałem ile kilometrów będę maszerował. Za chwilę jechał ciężarowy samochód Armii Czerwonej. Na moją uniesioną rękę zatrzymał się. Po rosyjsku spytałem dokąd jadą. Chętnie mnie zabrali do kabiny na trzeciego. Byli życzliwi i rozmowni na tematy wojny. Opowiadali jak zdobywali Berlin, a na powojenny odpoczynek wybrali Tiborlager i okolice świebodzińskiego powiatu. W Tiborlager wysiadłem i za 10 minut witałem się ze wzruszeniem ze swoją rodziną. Rodzice nie spodziewali się mojego urlopu, gdyż to stało się nagle. Wielce ucieszyłem stęsknioną w niepokoju Mamę. Za stołem świątecznym opowiadałem rodzinie swoje, tułaczce i wojenne przygody. Mama o mój los już była całkiem spokojna. Tylko martwiła się jeszcze o starszym synu Arseniuszu, który przeżywa swój ciężki los na Urale. Ale miała pewną nadzieję, że On także kiedyś wróci, by się cieszyć w komplecie wspólnym, rodzinnym życiem.

14 czerwca 1946 rok nadeszła nagła niespodzianka. Zapowiedziano nam, że pułk przenosi się do Hrubieszowa. Zasmuciło to nas, bo przecież tak dobrze nam było w Chełmie. Poznaliśmy jego wszystkie zakątki i czuliśmy się jak w domu, a tu nagła taka zmiana.

Z Chełma do Hrubieszowa 52 km. Przez 2 dni szliśmy tam na pieszo. Zmęczeni, zabrudzeni dotarliśmy do koszar. W koszarach rozdysponowano cały pułk. Każdą kompanię oddzielnie wysyłano w inny kierunek do likwidacji UPA. Naszą kompanię wysłano do małego miasteczka Krystynopol nad rzeką Bug 60 km. Od Hrubieszowa. (Obecnie tamte tereny należą do Ukrainy zabrane Polsce w 1948 roku). W tym miasteczku dla mnie i mojej kompanii było także całkiem dobrze. Kompania rozlokowała się w klasztorze katolickim, który był obwarowany wysokim murem i było tam dość bezpiecznie.

Niebawem nadeszły żniwa. Żołnierze musieli chwycić za kosy i sprzątać ogromne łany dojrzałej pszenicy. Ukraińców z tych terenów wysiedlono na Ziemie Odzyskane w obawie przed terroryzmem na polskich rodzinach. Polacy tam także sprząтали swoje zboża. W tym bałaganie nienawiści narodowościowej wiele zbóż zostało zmarnowanych.

Po kilku dniach pobytu w Hrubieszowie nowy dowódca kompanii zawołał mnie do siebie. Proponował mnie, by objąć piekarnię i piec chleb dla naszej kompanii. Po wyrażeniu zgody porucznik pokazał mnie piekarnię i zaprowadził do pewnej rodziny byśmy się poznali. Ta rodzina mieszkała na piętrze a piekarnia była na parterze. Państwo Szpakowscy mieli jednego syna, którego nazywali Jasio. W tym budynku przydzielono mi pokój w którym zamieszkałem. Pracy w piekarni dużo nie było, jedną kompanię 80 żołnierzy z łatwością zaopatrywałem w pieczywo pszenne. Na tych terenach żyta w ogóle nie siano. Z Jasiem szybko się zaprzyjaźniłem. W wolnym czasie po obiedzie chodziliśmy na miasto i do jego znajomych sąsiadów. Często trafiał się poczęstunek mocnym bimbrem. Dziewczyny ode mnie też nie stroniły. W wolny czas po obiedzie pomagałem sąsiadom przy sprzątaniu pszenicy podczas żniw. Była to wdowa z dwoma, dorosłymi córkami. Pomagałem im i przy młócce. Starsza pani bardzo mi polubiła i bardzo zachwalała swoje córki. Na Ukrainie były inne obyczaje, które mi się nie bardzo podobały, więc głębszych znajomości z nimi nie nawiązywałem. Okazywałem im tylko swoją pracowitość i grzeczność. Marzyłem o dziewczynie na stałe, na zawsze, by pochodziła z ojczystych stron. Wiedziałem, że po wojnie na Ziemie Odzyskane trafiło wiele rodzin z moich, rodzinnych stron i z pewnością odnajdę tam swoją Miłość, która na mnie czeka. Martwiło mnie tylko, że po wojnie minęło już wiele miesięcy a ja w Bieszczadach piekę jeszcze wojenny chleb. Mnie tu nie było źle, ale moi koledzy z kompanii jeszcze ginęli i nic nie wskazywało, że w tej, pięknej

krainie szybko zapanuje spokój. Czas kroczył na przód. Pory roku zmieniały się, a ja trwałem w swojej monotonii. Nadeszła znowu mroźna zima odziana w białą szatę.

KONIEC TUŁACZKI

12 lutego 1947 roku godz. 10-ta załadowałem do pieca ostatni wsad chleba. Pod piekarnię podjeżdża gazik z dowódcą kompanii i dwóch żołnierzy. Po otwarciu drzwi do piekarni porucznik krzyknął:
- No Jackowski, od piekła już swoje, przywiozłem na twoje miejsce dwóch zastępców a ciebie zabieram do sztabu!

Wszystko zrozumiałem, porucznik nie musiał mi wyjaśniać. Dla zastępców przekazałem swoje obowiązki. Porucznik ich jeszcze pouczył od czego mają zaczynać. Zabrałem swoją broń i resztę drobiazgów i rozstałem się z piekarnią. Złożyłem życzenia dla zastępców i odjechałem z dowódcą do koszar. W sztabie zdałem broń, orzełek i pas. W kolejce stanąłem po kartę demobilizacyjną i rozkaz wyjazdu. W pełnym umundurowaniu wojskowym zwolniono nas wreszcie do cywila. To było nasze święto, bardzo radosna chwila, że po wielu miesiącach służby, wojennej tułaczki jesteśmy już wolni i niezależni. Ten wzruszający, pamiętny dzień był mroźni i trochę padał śnieg. Za bramą koszar pomyślałem, że chwała Tobie dobry Boże. Niezmiernie się cieszyłem, chociaż tyle przeżyłem, tyle wycierpiałem o głodzie i chłódzie w tej, strasznej wojnie ale jestem żywy i zdrowy. Wracam już do Rodziców, by Im pomóc w rozpoczętym już powojennym życiu. Współczuwałem Rodzicom kolegów, którzy nie doczekali swoich synów. Tych wielu moich Kolegów poległo na polach bitewnych za swoich Bliskich, za swoich Rodaków, by Oni cieszyli się życiem i wolnością w swojej Ojczyźnie. W każdym momencie, kiedy Ich wspominam tak wspaniałych, życzliwych, walecznych chłopaków z żalu coś mnie pod duszą w piersiach. W czasie wojny łączyła nas najbardziej emocjonalna więź „braterstwa broni”. W tych, bitewnych czasach w ciężkiej niedoli musieliśmy wspólnie ten trud pokonywać. Czas kroczył na przód i wykonywał swoje zadania, które często nie zadowalały marzeń człowieka.

W połowie maja 1947 roku otrzymałem list, którego nigdy nie spodziewałem się. To był list od tych sióstr z Hrubieszowa, których bardzo zachwalała matka. Było także załączone ich zdjęcie. Chodziło im, by się bliżej zapoznać w celu zawarcia małżeństwa.

Oferta ich brzmiała:- „Panie Władku! O ile możesz, to przyjedź do nas pogościć, a w tym czasie może wybierzesz którąś z nas, o ile Tobie podobamy się.”

Postąpiłem wobec nich nie ładnie i nie uczciwie, bo nawet nie odpisałem im listu. Dziś nie pamiętam nawet dlaczego? Być może, że było za daleko, a być może, że nie podobały mi się ich obyczaje? Z pewnością dziewczyny czekały długo na odpowiedź ignoranta.

I tak minęły piękne, młode lata, którymi nie sterowała miłość lecz wojna. Ale żal po nich, nieodwracalnych pozostanie i nieraz w zadumie i nostalgii wycisnie przeważnie gorzką łezkę.

Pisałem te wspomnienia w myślach, ale podczas pisania ten cały obraz przedstawiał mi się jak gdyby naprawdę jeszcze raz to wszystko przeżywał.

Wszystko minęło jak sen, ale nam starym pozostała tęsknota do swojej, rodzinnej, białoruskiej krainy. Tam, gdzie były ścieżki i dróżki naszego dzieciństwa i naszej młodości. Tam, gdzie wypowiedzieliśmy pierwsze słowo: MAMA. Tęsknotę tą nie da się usunąć z pamięci, która w niej jest zakotwiczona do końca życia. Dzieci nasze i wnuki na pewno tego nie pojmują i nam nie współczują i to nic dziwnego, gdyż ich Ojczyzna i ich rodzinne strony są tutaj, z którymi są związane na całe życie. To będą potwierdzać złożone kości ich ojców.

*„Nikt nie zna swojej przyszłości.
Nikt nie zna granic miłości.
Nikt nie wie dokąd dążymy
Nawet nie wiemy, że się mylimy.
Nie wszyscy chcą uwierzyć
Że miłość świat buduje
W nieszczęściu kto jej pomoże?
W cierpieniu kto jej współczuje?
Dlatego wojny bez końca
Dlatego świat jest kaleki
Dlatego wszyscy cierpimy
Będziemy tak cierpieć przez wieki”. S.J.*

ETAP X --- ZASŁUGI WETERANA





**SIŁY ZBROJNE
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

mianował

nie będącego w czynnej służbie wojskowej

ppor. nie podl. ob. sl. wojsk. JACKOWSKI Władysław s. Tomasza

na stopień

PORUCZNIKA

z dniem **11 grudnia 2003 roku**



SZEF
WOJEWÓDZKIEGO SZTABU WOJSKOWEGO
w ZIELONEJ GÓRZE

plk Stanisław JODŁOWSKI

07.01.2004r.
(data)



**ZARZĄD OKRĘGOWY
ZWIĄZKU KOMBATANTÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
I BYŁYCH WIEŹNIÓW POLITYCZNYCH**

**DYPLOM
UZNANIA**

NADANY

kal. Władysławowi Jackowskiemu

Z OKAZJI JUBILEUSZU 85 ROCZNICY URODZIN

UCZESTNIKOWI II WOJNY ŚWIATOWEJ ZA MĘSTWO I OFIARNOŚĆ
W WALCE O WYZWOLENIE NASZEJ OJCZYZNY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
I ZA WIELOLETNIĄ PRACĘ PRZY POWOJENNEJ ODBUDOWIE KRAJU,
PRZYSZYCIENIE SIĘ DO ROZWOJU NARODOWEJ GOSPODARKI I UMACNIANIE
OBRONNOŚCI POLSKI
ORAZ ZA WIELOLETNIĄ AKTYWNA DZIAŁALNOŚĆ CZŁONKOWSKĄ W SZEREGACH
ZWIĄZKU KOMBATANTÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ I BYŁYCH WIEŹNIÓW
POLITYCZNYCH.

Zielona Góra, dnia *17 XII* 200*3* r.



PRZESŁ
Zarząd Okręgowy
ZKRP w Zielonej Górze
[Signature]
Grzegorz Wroński



**ZARZĄD OKRĘGOWY
ZWIĄZKU KOMBATANTÓW RP I BYŁYCH WIĘŹNIÓW
POLITYCZNYCH
W ZIELONEJ GÓRZE**

Nadał

Jackowski Władysław

Uczestnikowi Walk o Niepodległość Polski w latach 1939 – 1945

**DYPLOM
HONOROWY**

*Z okazji 60 Rocznicy Zakończenia II Wojny Światowej
i Zwycięstwa Nad Faszyzmem.*

Jednocześnie składa serdeczne żołnierskie podziękowanie
za osobiste zaangażowanie i wytrwałość w walce
o demokratyczną Polskę.



PREZES

Janusz

Zielona Góra, 2005.05.08



LIST GRATULACYJNY

Szanowny Pan

Por. Jackowski Władysław

Z okazji 63 rocznicy zdobycia „Twierdzy kołobrzesckiej” przez
1 Armię WP, gdzie kapral Franciszek Niewidziało rzucił pierścień
do Morza Bałtyckiego i złożył przysięgę:

*„Przeszliśmy morze, po ciężkim i krwawym trudzie Widzimy, że nie
poszedł na marne Nasz trud. Przysiegamy, że Cię nigdy nie opuścimy.
Rzucając pierścień w twe fale, z tobą ślub, ponieważ tyś było
i będziesz na zawsze Nasze.”*

Zarząd Okręgowy ZKRiBWP wraz z Szefem Wojewódzkiego Sztabu
Wojskowego w Zielonej Górze składa serdeczne podziękowanie i należy
szacunek, a także płynące z głębi serca życzenia zdrowia i pogody ducha.
Niech rok 2008 będzie szczęśliwy dla wszystkich Kombatantów.

PREZES
Zarządu Okręgowego ZKRiBWP
w Zielonej Górze

Bolesław WRÓŃSKI



SZEF
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego
w Zielonej Górze

płk dypl. Zbigniew DOMAŃSKI



*Bohater wojny i pamiętnika
Prezes Związku Kombatantów w Świebodzinie podczas uroczystości rok 2007*

ETAP X --- POEZJA DUSZY

OJCZYZNA

Dla Ciebie Ojczyzno moja utracona
Oddaję hołd i pokłon pokornie.
Myślami przesyłam Ci kwiaty z pól bitewnych
Gdzie wróg twój zaciekły walczył opornie.
Tęsknię za Tobą moja Wiosko w udręce.
W niej pozostała moja dola dziecięca.
Wierną Ojczyzno dla mnie byłaś.
Choć skromnym chlebem mnie wykarmiłaś.
Marzyłem wrócić na twoje łono.
Z miłością za Tobą, z duszą utęsknioną.
Gdzie Tato uprawiał swe pole starannie
Gdzie pozostało gniazdo bocianie.
Gdzie Mama piekła chleb kminkiem pachnący.
Tam się bawiłem przy domu na łące.
Wiosną skowronek swym, pięknym śpiewem
Budził rodzinę o wczesnej godzinie.
W zimie do snu nam świerszcz przygrywał
Na swych skrzydełkach w ciepłym kominie.
Kochałem swój dom, stareńki dach
W nim śpiewał pieśni wichrów chór
Pachnące łąki skoszonych traw
Za łąką szumiący, piękny bór.
Jakże uroczym tam łąny szumiały.

Polne kwiaty miedze upiększały.
Tęsknię do pagórków, dolin, lasów, gai,
Do żółtych kaczeńców, do krętych ruczajów.
Do niebieskich łąnów kwitnącego lnu,
Na łonie natury dziecięcego snu.
Tam drogi się wiły wśród gór, dolinek,
Przez pola i łąki gdzie porastał kminek.
Tam ścieżkę deptałem do swojej dziewczyny.
Tam Ją zostawiłem przez wojenne winy.
Nie da się w myślach umieścić
Swoje przeżyte przygody.
Nigdy nie wróci dzieciństwo
I czasy, gdy byłem młody.
Kraju Ojczysty, kraju mój miły
z myślami ja z Tobą przez lata.
Pozostały w Nim tylko Dziadków mogiły
Z czym myśl moja często się splata.

ŻAL MI

Żal mi błękitu i „baranków na niebie”,
Tam gdzie wschodziło nad lasem słońce.
Tam była moja, rodzinna ziemia.
Myślę i tęsknię za nią bez końca.
Żal dziecięcych lat beztroskich
Pod opieką Mamy
Troskę taty w pocie czoła
W smutku wspominamy.
Żal młodości wśród natury
Co cieszyła duszę
Żal dziewczyny zostawionej,
Która serce wzrusza.
Żal kwitnących łąk przy polach.
Niwę pięknych zbóż.
Śpiew słowika w gęstym gaju,
Letnich, grzmiących burz.
Żal mi zimy, żal mi wiosny
W krainie ojczystej.
Żal jeziora pełne ryb,
W rzece wody czystej.
Żal mi wiosny, żal mi lata,
Żal złotej jesieni
Czas upłynął, już nie wróci,
Nikt już nic nie zmieni.

GDZIE JA PÓJDE

Gdzie ja pójdę, co ja zrobię
Bez Ciebie kochanie.
Nie wiem jak to będzie dalej?
Co się ze mną stanie?
Cały ogród pełen kwiatów
Rozkwita kolorem
Moje życie bez Twojego
Toczy bocznym torem.

Ogród w ugór się zamienił
Słońce w chmurach tonie
Dla mnie nic już nie urośnie
Na „Naszym Zagonie”.

WŚRÓD PIĘKNEJ NATURY

Lubię rankiem witać dzionek
Gdy się srebrzy rosa.
Lubię słuchać śpiew skowronka
I jak brzęczy kosa.
Lubię słuchać gdy kukułka
Tuż przy domu kuka.
Jak wpatrzony dzieciół w konar
W dziką jabłoń stuka.
Lubię gdy falują łąny
Kwitnącego żyta,
Jak popatrzysz i posłuchasz
Czar za serce chwyta.
Lubię lato lśniące w słońcu,
W polu kopy zboża.
Burze, gromy, błyskawice,
Piękne, wschodnie zorze
Lubię patrzeć jak na niebie
Białe chmurki płyną
Jak bajkowe animacje
Powstają i giną.
Niech me życie płynie z nimi
Do samej starości.
Tylko żeby nie zabrakło
Chleba i miłości.

OSTATNIA JESIEŃ

Droga Moja, widzę, jak stoisz w oknie i patrzysz w przeszłość.
Łzy rozpaczy skrycie przede mną ocierasz.
Wiesz, że to już nasza ostatnia jesień,
A wciąż na nasze przeszłe wiosny i lata spojierasz.
Przez lata każdego dnia prócz świąt rozłączeni.
Malarz „Szron” nieustannie, spieszenie malował nam włosy.
W trosce o Dzieci szybko nam czas upłynął
Mało słyszeliśmy Naszej Miłości Głosy.
Przeminął czas naszej pięknej młodości.
Jesienne wichry z Niej pożółkłe liście zrywają
Musimy ustąpić naszym, kochanym Potomnym
Niech Oni także piękna natury i piękna miłości doznają.
Chodź Kochanie, przytul się mocno do mnie
Będę Ci opowiadał bajki o naszej, Wielkiej Miłości,
By nam się milej usypiało po drodze do wiecznej przyszłości.

PIERWSZA I OSTATNIA MIŁOŚĆ

Po wojnie z Ziemi Zachodnich wysiedlono Niemców. Napływali tu repatrianci ze wschodu i przesiedleńcy z polskich regionów zachodnich. Byli to ludzie różnych narodowości i różnej wiary. W każdej wsi po kilku osiedliło się weteranów wojny jako osadnicy. Mieli oni przywileje zajmować za darmo gospodarstwa w rekompensacie za czynny udział w wojnie. Każdej soboty organizowano zabawy w każdej wsi. A najważniejsze zabawy odbywały się na sali Gromadzkiej Rady Narodowej w Skąpem. W 1948 roku wybraliśmy się z bratem na taką zabawę. Ciekawe było, że powojenna młodzież na niej była różnej narodowości a bawiła się wyjątkowo grzecznie i to bardzo grzecznie. Przez wiele lat w każdej wsi nie spotkałem żadnej bijatyki. Dziewczyny były biedne, ale piękne i dość ładnie się ubierały. Na każdej zabawie tradycyjnie po paru kawałkach muzykanci zarządzali „białego walca”. Każda dziewczyna знаła tę tradycję i przed tym kawałkiem już miała sobie upatrzonego partnera. No i stało to się na sali tanecznej w Skąpem. W chwili, kiedy ten walc tylko zabrzmiał, dziewczyny z miejsca ruszały do ataku. Spostrzegłem, jak pierwsza, piękna dziewczyna przez całą salę szybko podążyła do mojego brata. Przede mną też jedna dygnęła, ale ja nie byłem jeszcze tak zaawansowany, by szaleć za dziewczynami. Po tym kawałku podziękowałem jej, pocałowałem w rękę i kończyło się na życzliwych uśmiechach. Natomiast dziewczyna brata już nie wypuściła go z rąk. Była bystra i śmiała, mieszkała w sąsiedniej wsi Darnawa, nazywała się Waleria Kastricka. Kiedy nad ranem zbliżał się koniec zabawy w korytarzu sali podszedłem do już zapoznanej pary. Patrzyłem, jak jego szyję trzymała w objęciach dziewczyna z „białego walca”. Prosiłem brata, by razem rowerami wracać do Międzyzlesia. Ta dziewczyna powiedziała mnie, że chce, by ją Władek odprowadził do domu, do Darnawy. Wszystko zrozumiałem i bez brata z kolegami wracałem do domu. No i stało się, brat znalazł czego szukał. Waleria-na stała się dobrym lekiem na serce weterana wojny. Rok później pobrali się w Międzyzlesiu i zamieszkali w osobnym domu. Po następnych dwóch latach wyjechali do Świebodzina. Mieli syna i dwie córki. Waleria z wielkiej miłości do męża wybrała jego imię dla swego, pierwszego syna. Brat z wielkiej miłości do żony musiał zaakceptować to imię. A jakże Waleria cieszyła się, kiedy po wielu latach w jej rodzinie pojawił się trzeci Władysław, był nim mąż młodszej córki Emilii. Rodziny dzieci udanego, kochającego się małżeństwa wszystkie żyją godnie i szczęśliwie. Godnie służą dla społeczeństwa i Ojczyźnie. Małżeństwo brata prócz pracy zawodowej nigdy się nie rozstawało ani na chwilę. Wszędzie byli razem. Jedynie tylko nie raz Władysław ze swoim starszym bratem Arseniuszem odwiedzali mnie zapracowanego w Międzyzlesiu. Było to moją wielką uciechą w życiu, że moi Bracia nie zapominali swojego, młodszego braciszka. Najwspanialszą oazą odpoczynku moich braci były ich własne mieszkania. Wiele lat cieszyli się pięknem swojego małżeństwa i rodzin swoich dzieci. Jeżeli chodzi o żonę Władysława Walerię, to Ona zachorowała na nieuleczalną chorobę 2006 roku. Dopóki potrafiła jeszcze siedzieć, to siadała i przytulała się do męża trzymając go w objęciach za szyję. Zawsze tą samą scenę widziałem kiedy Ich odwiedzałem. Waleria wiedziała, że prócz męża kochanego nikt Jej tak nie współczuje w chorobie i nikt jak On nie zaopiekuje się Ją. Chociaż miała przez męża wynajętą, wspaniałą opiekunkę, która Ją i jej męża kochała jak najlepszych swoich rodziców. Po nocach i podczas nieobecności opiekunki bardzo się opiekował przez dwa lata swoją żoną. Można tylko wyobrazić jak przeżywała ten czas rozstania para Wielkiej Miłości. W jakiej rozpacz patrzył mąż na swoją Miłość jak powoli odchodziła do wieczności zostawiając Go samego. Po śmierci Walerii opiekunka Bożena nie zostawiła jej męża staruszka samego. Brat nadal dziękuje jej za złoty charakter i za złote jej ręce. Chmara jego rodziny często Go odwiedza w samotności. Mnie też bardzo kocha, zaprasza mnie i bardzo czeka na moje odwiedziny. Zawsze mi ze wszystkiego zwierza się i opowiada z łezką w oku o swojej Ukochanej i jak bardzo za Nią tęskni. W samotności, w zadumie wydaje Mu się, że Ich piękna przygoda życie minęła tak szybko jak cudowny sen. Bardzo się cieszy ze swojej, Wspaniałej Rodziny i szczerze mi opowiada o każdym jej członku. Kiedy się czuje samotny to dzwoni do mnie, by porozmawiać.

Mój jeszcze starszy brat Arseniusz miał prawie identyczne przeżycia co Władysław, tylko, że był krócej na froncie, lecz dorównał cierpieniem zesłania na Urale i był o dwa lata dłużej poza domem. Ich miłość była wielka w stosunku do swoich Rodzin. Nie grzeszyli Oni także miłością do Społeczeństwa. Dla Nich, a także i dla mojej siostry Zenony Ciechanowicz od dawna samotnej, mieszkającej w Ciborzu u swojej Córki Haliny Cieślik MIŁOŚĆ była najważniejszym, najcenniejszym i najpiękniejszym zjawiskiem w ich życiu.

**BEZ MIŁOŚCI ANI SZCZĘŚCIA, ANI PIĘKNA NIE WIDZIMY.
„SPIESZMY SIĘ KOCHAĆ, GDYŻ TAK SZYBKO ODCHODZIMY”.**

***Dla Ciebie Władziu, za twoją dobroć, życzliwość i miłość braterską poświęciłem
się opracować pamiętnik twojego, wojennego trudu, który służył dla wolności Ojczyzny,
twojej Rodzinie i dla Twoich Przyszłych Pokoleń
Niech nasza, wspólna praca służy na pamiątkę dla naszych Dzieci, dla Ich Rodzin i dla
wszystkich Rodaków.***

Sergiusz Jackowski 29.08.2012